

Splątanie istnień

19 listopada 2018

Planeta Ziemia obracała się wokół własnej osi pozwalając słońcu sięgać coraz głębiej w kontynent amerykański. Wreszcie jego promienie dosięgnęły policzka małego chłopca śpiącego w domu na przedmieściach Waszyngtonu. Gdy dotarły do jego oka chłopiec zacisnął je mocniej, lecz pomimo prób sen o lataniu wśród chmur oddalił się bardzo szybko. Otworzył oczy leżąc na swoim łóżku. Obrócił się tyłem do okna i próbował wrócić w przestworza; nie mógł jednak ponownie zasnąć.

– Tomuś! – usłyszał krzyk matki dochodzący z dołu. – Obudź się, za chwilę będzie śniadanie!

Leżał nie odpowiadając. Był zły, że nie mógł latać.

– Tomuś!

– Tak, mam, już nie śpię! – krzyknął całymi płucami.

– Idź się umyć i schodź na dół!

Nie odpowiedział. Leżał jeszcze przez kilka minut, po czym zwłókł się z łóżka, przebrnął przez pokój zawałony zabawkami i wszedł do łazienki. Miał swoją własną i bardzo się z tego cieszył. Jego siostry potrafiły zajmować pozostałe łazienki w domu nawet po kilka godzin. Do jego miały jednak zakaz wstępu.

Zszedł po schodach wyłożonych miękką wykładziną, przeczłapał przez przedpokój i wszedł do salonu, który sąsiadował z otwartą kuchnią. Usiadł przy stole i popatrzył na matkę, która odwrócona do niego tyłem mieszała coś w wielkim garnku na kuchence.

– Aż tyle na śniadanie? – spytał uważnie przyglądając się kociołkowi.

Kobieta odwróciła się zaskoczona i szeroko się uśmiechnęła.

– Jesteś już mój kochany! – Podeszła do niego i chwytając jego twarz w dłonie pocałowała go w czoło. Chłopiec wyrывał się z jej uścisku nie rozumiejąc do końca powodu dla aż takich czułości.

– Ja chcę płatki z mlekiem – oznajmił patrząc krzywo na wielki garnek na kuchence.

– Oczywiście, że dostaniesz płatki – odpowiedziała śmiejąc się. – Teraz kończę przyprawiać specjalną potrawę na dzisiejszy wieczór.

Tomek przypomniał sobie, że rodzice urządzają wieczorem imprezę i dlatego tą noc będzie musiał spędzić u dziadków w centrum Waszyngtonu. Uśmiechnął się na tą myśl; dziadek zawsze pozwalał mu na o wiele więcej, niż jego oboje rodzice razem wzięci.

Kobieta postawiła przed nim głęboki talerz pełen mleka, z którego wystawały grudki płatków i szklanek wody. Mały teraz dopiero poczuł jak bardzo jest głodny i zabrał się za jedzenia z zapałem będącym źródłem ogromnej satysfakcji jego matki. Cały talerz opróżnił w mniej niż pięć minut. Wypił szklanek wody, przetarł usta i zawołał do matki odwróconej tyłem i pochylonej nad kociołkiem.

– Mamo, chcę iść na rower!

– Dobrze maluszk, tylko nie wyjeżdżaj poza podjazd.

– Nie jestem maluszk! – odkrzyknął wstając z krzesła. Błat stołu sięgał dokładnie połowy jego czoła. – Mam już cztery lata! – dodał dumnym głosem.

Odwrócił się i ruszył w stronę drzwi wyjściowych. Rozbawiona kobieta obserwowała go przez ramię wciąż mieszając specjalną recepturę swojej babki, którą obiecała zaserwować tego wieczoru swoim znajomym.

Mały wyszedł z domu, zszedł po trzech stopniach i skierował

się w lewo do drzwi garażowych, przy których stał jego żółto czerwony rowerek trzykołowy. Prawdziwe dzieło sztuki w oczach Tomka. Nikt na całej ulicy nie miał lepszego. Wsiadł na niego i wydając dźwięk odpalanego silnika ruszył w stronę ulicy. Rozpędzał się coraz bardziej i podjął decyzję, że jego maszyna nie może się teraz zatrzymać; nie gdy dopiero co wrzucił dziesiąty bieg.

Przeciął chodnik i wyleciał na ulicę ostro skręcając przednim, dużym kółkiem. W momencie gdy zaczął wchodzić w łuk usłyszał za sobą warkot i obrócił się przez ramię. Zobaczył wielki, chromowany zderzak Forda, który uderzył go w główkę i odrzucił kilka metrów do przodu, niszcząc całkowicie jego ukochaną maszynę. Samochód szybko go jednak dogonił i wciągnął pod lewą oś miażdżąc jego małe ciało przednim, a następnie tylnym kołem. Odjeżdżając pozostawił za sobą kałużę krwi, w której leżały nieruchomo zdeformowane zwłoki chłopca.

* * *

Skręcił z Connecticut Avenue w boczną ulicę i zaczął uważnie się rozglądać. Co chwila spoglądał na nawigację. Szukał domu swojego przyjaciela lecz żaden tutaj nie był nawet do niego podobny. Zaczął szukać w nawigacji innych ulic w Waszyngtonie o tej samej nazwie. Gdy kolejny raz dotknął ekranu, urządzenie wypięło się z małego uchwytu i spadło na podłogę samochodu. Zaklął pod nosem. Schylił się sięgając po nie prawą ręką; drugą trzymał cały czas na kierownicy. Jak na złość urządzenie odbiło się od jego palców i schowało głębiej pod fotelem pasażera. Rzucił kolejne przekleństwo i schylił się jeszcze bardziej. Nagle poczuł lekkie uderzenie i samochód podskoczył dwukrotnie z lewej strony. Momentalnie się wyprostował i rozglądnął. Nie zauważył niczego przed ani obok siebie i dopiero gdy jego wzrok zatrzymał się na wstecznym lusterku zamarł w przerażeniu. Zobaczył rowerek obok czerwonej miazgi, z której wystawała mała rączka. Przez moment nie wykonał żadnego ruchu jakby czekał na potwierdzenie, że to rzeczywiście się stało. Kilka sekund później rozległ się

przeraźliwy krzyk kobiety i jego stopa sama wcisnęła głębiej pedał gazu; jeszcze zanim podjął decyzję o ucieczce. Samochód przyspieszył. Mężczyzna zacisnął obie dłonie na kierownicy. Szukał rozpaczliwie w głowie jakiegoś uzasadnienia, pretekstu, powodu, którym mógł usprawiedliwić to, co zobaczył we wstecznym lusterku. Jego myśli stały jednak w miejscu jak gdyby dotarły do nieprzekraczalnej granicy. Owładnęło go przerażenie.

– Mój boże... – wyszeptał. – Ja... zabiłem.... ja.... nie mogę pójść do więzienia... – mamrotał do siebie pod nosem.

Dojechał do końca ulicy i skręcił w prawo; przejechał kilkadziesiąt metrów i skręcił w lewo. Jechał przez dłuższą chwilę, aż w końcu wypatrzył mały zaułek pomiędzy ścianami dwóch, dużych budynków. Wjechał w niego i zatrzymał się na samym końcu. Przez kilka minut siedział w samochodzie wpatrując się we wsteczne lusterko. Był przekonany, że za moment wjedzie za nim w uliczkę radiowóz, z którego wyskoczy dwóch policjantów z pistoletami w dłoniach, gotowi zabić go na miejscu. Czuł, że na to właśnie zasługuje.

Wysiadł z samochodu i wykonał kilka kroków; szedł jak człowiek pod wpływem silnych leków uspokajających lub sporej ilości alkoholu. Oparł się o ścianę zaułka plecami i zsunął na ziemię. Nie mógł objąć umysłem wszystkiego, co się stało. Cały czas miał przed oczami kałużę krwi i wystającą z niej małą rączkę, która wydawała się sięgać po stojący obok niej żółto czerwony rowerek.

– Mój boże – powtórzył cicho. – Ja ... zabiłem dziecko... – łkał i łzy napłynęły mu do oczu. – Jak to możliwe... przecież tylko na moment ... – Ukrył twarz w dłoniach i już miał zacząć płakać, gdy usłyszał nagle w oddali syrenę. Był przekonany, że to radiowóz, a nie karetka czy straż pożarna. Zerwał się na nogi i spojrzał na swojego Forda. Obie lewe opony pokryte były plamami krwi, a zderzak z przodu miał lekkie wgniecenie, z którego ciągnęło się czerwone pasmo znikające pod samochodem.

Odgłos syren stawał się coraz głośniejszy. Mężczyzna oprzytomniał i szybko podjął decyzję. Otworzył bagażnik, z którego wyciągnął duży baniak wody mineralnej. Kupił ją dla żony swojego przyjaciela, która prosiła go o to jeszcze wczoraj. Jakie to szczęście, że to zrobił. Ściągnął z siebie koszulę pozostając w cienkim, białym podkoszulku i zaczął czyścić zderzak, a następnie opony. Te ostatnie przysporzyły mu najwięcej problemów; musiał zwijać koszulę w małe ruloniki, by móc wyczyścić krew zalegającą w bieżnikach opon. Tylne koło było niemal całe nią pokryte i spędził ponad kwadrans na usuwaniu śladów tego strasznego, potwornego, nieszczęśliwego wypadku. Bo tym to właśnie było. Absolutnym przypadkiem, który nie był jego winą. Po prostu. Nie chciał tego i nigdy w życiu nie skrzywdziłby dziecka, a już na pewno nie zabiłby żadnego. Nie, to nie była jego winą, a to wszystko stało się niezależnie od niego. Równie dobrze mógł tamtędy dzisiaj nie przejeżdżać i to dziecko też by zginęło. Dokładnie w ten sposób, przejechane przez jakiś samochód. Był tego całkowicie pewien i ta myśl trochę go uspokoiła.

– No właśnie – powiedział do siebie wstając od tylnej opony. – To stałoby się dzisiaj tak czy inaczej. To, że akurat ja tam byłem niczego nie zmienia – szeptał skupiając się na tej myśli. – To nie była moja winą... – powtarzał obchodząc Forda dookoła i oglądając go uważnie. Poza lekkim wgnieceniem z przodu nie było na nim żadnego śladu krwi dziecka. Uśmiechnął się do siebie i poczuł, jakby wypadek sprzed blisko pół godziny nie wydarzył się naprawdę; zupełnie jak gdyby oglądał tą scenę w kinie i nie miał z nią nic wspólnego poza byciem jej obserwatorem. Odetchnął głębiej i poczuł się lepiej.

– Tak, to się nie wydarzyło – powiedział do siebie lecz coś w nim nie do końca ułożyło się zgodnie z tą myślą; coś zaprotestowało i powtórzył raz jeszcze:

– To się nie wydarzyło.

Tym razem już było lepiej i prawie poczuł ulgę. Wsiadł do

samochodu i przez kilka minut uspokajał się wyobrażając sobie swoją rozmowę z policjantem. Spokojnie odpowiadał na pytania i udał ogromne zdziwienie gdy został spytany o potrącenie dziecka. Przecież on nic o tym nie wie. Wgniecenie na przednim zderzaku? To stało się wczoraj gdy wycofywał ze swojego garażu w sąsiednim stanie. Nie ma w ogóle o czym mówić. Policjant uwierzył w jego zapewnienia, a on na odchodne życzył mu rychłego schwytania potwora, który zabił dziecko.

Odczekał jeszcze chwilę powtarzając całą rozmowę z wyimaginowanym stróżem prawa, po czym odpalił samochód i zaczął powoli wycofywać z zaułka. Jak na przykładowego kierowcę przystało wrzucił prawy migacz i zatrzymał się pół metra przed ulicą rozglądając uważnie. Przecież tak łatwo jest o wypadek.

Spojrzał w prawo, a następnie w lewo i zauważył idącego chodnikiem mężczyznę w ciemnej kurtce, który szedł wprost na niego. Uchylił okno do połowy i powiedział uprzejmie:

– Już robię panu miejsce...

Nim zdołał zrobić cokolwiek innego, mężczyzna wykonał trzy szybkie kroki w jego stronę i przyłożył mu do gardła paralizator, który usmażył kierowcy krtań. Jeszcze przez kilka chwil był świadomy gdy mężczyzna w ciemnej kurtce otworzył drzwi i wyciągnął go z samochodu zaciągając do zaułka. Następnie wyciągnął z wnętrza kurtki pistolet z długim tłumikiem i strzelił kierowcy w głowę. Odszedł zostawiając jego zwłoki leżące na stercie śmieci.

* * *

Ruszył w stronę samochodu uważnie mu się przyglądając. Zobaczył wgniecenie z prawej strony, które mu się nie spodobało ale nie miał w tym momencie wyjścia. Wsiadł i wycofał w prawo. Ruszył na wschód szeroką ulicą osiedlową gdy poczuł wibracje na nadgarstku. Podciągnął rękaw kurtki, który ukazał szeroką, złotą bransoletę. Była zdobiona dużymi, ciemno czerwonymi kamieniami. Jeden z nich pulsował delikatnym

światłem. Wcisnął go. Kamień wysunął się z bransolety. Chwycił go opuszkami palców i włożył do prawego ucha. Nacisnął. Przy jego policzku pojawiła się holograficzna słuchawka.

– Masz? – usłyszał głos starszej kobiety.

– Tak.

– Gdzie jesteś?

– Na północy Waszyngtonu. – Skręcił w prawo i dołączył się do ruchu na trzypasmowej alei. – Właśnie skręciłem na południe. Miejsce spotkania?

– Kingman Park.

Zawahał się przez moment. Musiał przejechać całe miasto.

– Będę za pół godziny. – Dotknął ucha nie czekając na odpowiedź. Holograficzna słuchawka rozproszyła się od swego czubka przy ustach, aż po kamień w uchu. Wyciągnął go, schował do bransolety i zsunął rękaw kurtki. Spojrzał w tylne lustro i zauważył radiowóz jadący trzy auta za nim. Był spokojny. Wiedział, że nie wzbudza żadnych podejrzeń. Był na zwykłej, sobotniej przejażdżce swoim nowym Fordem, którym już zdążył mieć stłuczkę. Jak niefortunnie. Miał dowód rejestracyjny pojazdu, który zabrał kierowcy i swoje dokumenty. Nawet gdyby został wylegitymowany nie mieliby się do czego przyczepić.

Nagle radiowóz z tyłu włączył koguty i podjechał blisko jego tylnego zderzaka. Zawył kilka razy głośniejsze i zobaczył we wstecznym lusterku jak jeden z policjantów pokazuje mu ręką, by zjechał na pobocze. Postanowił poddać się nakazowi i po dwustu metrach zjechał na szerokie pobocze. Kilka metrów za nim zatrzymał się radiowóz. Wsiadło z niego dwóch policjantów, którzy wycelowali w jego stronę broń, kryjąc się za drzwiami samochodu. Krzyknęli do niego przez megafon wbudowany w dach pojazdu:

– Natychmiast wsiądź z samochodu z rękami podniesionymi do

góry!

Był zaskoczony. Wiedział, że nie mógł wywołać u nich takiej reakcji swoją jazdą. A więc to samochód. Ten kretyn, którego zabił musiał zrobić coś poważnego. Zaczął rozważać swoje opcje. Miał do przejechania całe miasto i jeżeli teraz zacznie uciekać, może mu się to nie udać. To był Waszyngton. Miasto policyjne pełne służb specjalnych wyczekujących jakiegokolwiek oznaki ataku na establishment. Argumentu zasadności swojego istnienia. Jeżeli jednak teraz wysiądzie, to zostanie aresztowany i nie dostarczy bransolety, która trafi w ręce policji. To był bardzo zły scenariusz. Spojrzał w lusterko i zobaczył jak jeden z funkcjonariuszy mówi coś do mikrofonu radia policyjnego. Musiał się ich pozbyć zanim pojawią się inni. Wyciągnął z wnętrza kurtki pistolet z tłumikiem i przez moment obserwował w lusterkach pozycję obu policjantów. Obniżył szybę od swojej strony i wychylił się przez okno przekręcając do tyłu. Oddał dwa strzały. Głowy policjantów odchyliły się gwałtownie do tyłu i padli martwi na asfalt. Schował się z powrotem do samochodu, odpalił silnik i ruszył z piskiem opon. Musiał jak najszybciej pozbyć się tego pieprzonego Forda. Przejechał kilkaset metrów gdy z bocznej uliczki za nim wypadł radiowóz na sygnale. Zacisnął usta i wcisnął głębiej pedał gazu. Nie chciał zjeżdżać na razie z głównej ulicy. Miał co najmniej pięć minut jazdy. Tyle policja potrzebowała na stworzenie blokady drogowej. Wymijał pojedyncze auta przecinając co chwila wszystkie trzy pasy. Radiowóz cały czas gonił go to tracąc, to nadrabiając dystans w ruchu ulicznym

Przyłożył palec do ucha i znów ukazała się przy jego twarzy transparentna słuchawka.

– Częstotliwość radia policyjnego w D.C. – powiedział wyprzedzając wielką ciężarówkę, która wlokła się środkowym pasem. Radiowóz zaczął objeżdżać ją z drugiej.

Usłyszał w uchu trzeszczenie, które szybko zmieniło się w

ludzki głos.

– „Podejrzany kieruje się na południe Szesnąstą aleją. Nie wiadomo, czy jest uzbrojony. Zachować szczególną ostrożność” – usłyszał w wirtualnej słuchawce.

Ulica zwęziła się do dwóch pasów, a za nim pojawił się kolejny radiowóz. Musiał zwolnić gdy dojechał do tworzącego się korka. Radiowozy dogoniły go i z policyjnego megafonu rozległ się głos:

– „Zjedź na pobocze i zatrzymaj się!”

Skręcił ostro kierownicą w lewo i wyjechał na przeciwległe pasy. Skrajny przeciął szybko unikając zderzenia z nadjeżdżającym Vanem, który uderzył w radiowóz próbujący jechać za nim. Przejechał dwieście metrów drugim pasem i skręcił na ręcznym w jednokierunkową ulicę Crittenden. Szybko mijał domy ciągnące się po obu jej stronach. Dojechał do skrzyżowania; skręcił w prawo w Piney Branch. Przejechał kilkaset metrów wąską uliczką i znów skręcił w prawo, w ulicę Buchanan. Po pięciuset metrach wrócił na Szesnąstą aleję. Ominął korek i zostawił pościg za miejscem stłuczki autobusu z samochodem osobowym, przez które chwilowo zamknięto całą aleję.

– Marta – powiedział jadąc dalej na południe.

– Gdzie jesteś? – usłyszał.

– Ściga mnie policja, właśnie jadę Szesnąstą aleją i za chwilę dojadę do Parku Meridian.

– Kurwa, Samson, jesteś w samym centrum Waszyngtonu! Co się stało? – spytała.

– Nie wiem. To samochód, nie ja. Jeżeli nie dostarczę.. – urwał zdanie gdy spostrzegł blokadę policyjną przy ulicy Euclid, będącej północną granicą Parku. – Wyślij kogoś! – krzyknął. Wyciągnął kamień z ucha. Wpiął go do bransolety i

przekręcił o ćwierć obrotu w prawo. Jechał rozpędzony na blokadę i policjanci otworzyli do niego ogień. Zginął nim zdołał odpiąć bransoletę i wyrzucić ją przez okno.

* * *

Funkcjonariusz Roy Denver stał z tyłu blokady opierając wyciągnięte ręce z pistoletem o bagażnik jednego z radiowozów, tworzących półkolistą blokadę przy skrzyżowaniu Szesnastej Alei i Euclid. Ścigany nie miał gdzie uciec. Blokada zaczynała być widoczna dopiero po minięciu ostatniego skrzyżowania z ulicą Fuller. Z przodu stali starsi rangą, bardziej doświadczeni policjanci. Roy dołączył do służb porządkowych stolicy trzy miesiące temu i znalazł się tutaj tylko przez swojego partnera, sierżanta Marco Benvill, który dołączył do akcji ze względu na przestępstwo ściganego. Trzy lata temu jego syn zginął pod kołami kierowcy. Najprawdopodobniej pijanego. Nigdy nie udało się go znaleźć. Gdy tylko usłyszeli w radiu policyjnym, co wydarzyło się dzisiaj rano na przedmieściach, Benvill zgłosił przerwanie patrolu i dołączył do poszukiwań.

– Przygotować się! Nadszedł! – krzyknął jeden z policjantów stojących z przodu blokady. Roy przyjął pozycję i celował przed siebie. Jego serce waliło tak głośno, że zagłuszało niemal wszystko inne.

Gdy tylko zauważyli ścigany samochód jeden z policjantów krzyknął coś przez megafon. Kierowca Forda nie zwalniał jednak i Benvill jako pierwszy oddał w jego kierunku strzał. Zaraz po nim ogień otworzyła reszta policjantów. Roy patrzył przerażony na bieg wydarzeń i dopiero po kilku sekundach wymierzył w nadszedzący samochód, zamknął oczy i oddał jeden strzał, który trafił kierowcę w głowę zabijając go na miejscu.

Ford zaczął wytracać prędkość i skręcać w lewo; staranował dwie skrzynki elektryczne i zatrzymał się uderzając w latarnię, którą wygiął pochylając nad ulicą Euclid. Policjanci

podbiegli do samochodu i otwarli drzwi, z których wypadły zwłoki mężczyzny w ciemnej kurtce. Akcja zakończyła się sukcesem. Zabezpieczono broń mordercy, która tylko utwierdziła funkcjonariuszy w przekonaniu, że dokonali właściwej decyzji otwierając ogień. Wkrótce pojawiła się ekipa policyjnego laboratorium, która zabezpieczyła wszystkie ślady w samochodzie, a ten ostatni został usunięty z ulicy. Wezwano również straż pożarną, która tymczasowo usunęła złamaną latarnię i wznowiono normalny ruch drogowy w centrum Waszyngtonu.

Wszyscy policjanci uczestniczący w pościgu oraz blokadzie, wrócili na posterunek w celu dopełnienia formalności złożenia zeznań i ustalenia dokładnego przebiegu zdarzeń; w tym stworzenia inwentarza uszkodzonego sprzętu policyjnego, który należało naprawić lub wymienić.

Po przeszło godzinie oczekiwania Roy Denver złożył swoje wyjaśnienia przed komisją składającą się z trzech osób, w tym kapitan posterunku Jane Strauford, której wyjątkowo nie lubił. Zeznając młody mężczyzna denerwował się niemal równie bardzo jak podczas strzelaniny i odetchnął z ulgą, gdy tylko wyszedł z sali przesłuchań.

– Marco cię szukał – usłyszał przechodząc korytarzem.

Zawrócił i dwie minuty później wszedł do dużej, otwartej przestrzeni poprzecinanej stanowiskami pracy policyjnej dochodzeniówki znajdującej się piętro wyżej; podszedł do biurka sierżanta.

– O, jesteś – zaczął Benvill rzucając mu przelotne spojrzenie.

– Idź do ewidencji i przynieś mi tutaj wszystko, co miał przy sobie facet, którego dzisiaj zastrzeliliśmy.

– Jasne, już idę – odparł i ruszył w stronę windy. Magazyn dowodów znajdował się w podziemiach budynku i musiał zjechać trzy piętra by się do niego dostać.

Wyszedł z windy i skręcił w lewo. Przeszedł długi korytarz i na jego końcu skręcił w prawo. Jego oczom ukazały się drzwi zbrojone kilka schodków poniżej poziomu podłogi. Zszedł po stopniach i zobaczył za kratą oficer Lampart Daanini. Starsza kobieta, która wciąż mogła złamać niejedno serce. Jego na pewno. Widział ją trzeci raz i to już był drugi raz gdy postanowił, że zaproponuje jej spotkanie po pracy.

– Dzień dobry – zaczął z szerokim uśmiechem na twarzy.

Kobieta spojrzała na niego na moment odrywając oczy od ekranu komputera.

– W czym mogę ci pomóc? – rzuciła beznamiętnie.

– Jaki mamy dzisiaj ładny dzień...

– O co ci chodzi, szeregowy?

– Ja .. sierżant Benvill wysłał mnie po rzeczy znalezione przy nieboszczyku z dzisiejszej strzelaniny.

Kobieta przez moment ani drgnęła pochłonięta bez reszty czymś na ekranie, by nagle odwrócić się i zniknąć w głębi pomieszczenia. Po pół minucie wyłoniła się z magazynu trzymając w dłoni wielkie, kartonowe pudło.

– Wow, aż tyle miał przy sobie? – spytał.

– Nie, został nam tylko jeden rozmiar kartonów – odparła uchylając środek drzwi zbrojonych i przesuwając karton po stalowej ladzie. Roy podniósł go i spojrzał na kobietę chcąc powiedzieć coś na odchodne. Jakby to wyczuła i zatrzasnęła przed jego twarzą wewnętrzną kratę drzwi. Odszedł nie podejmując już żadnej próby bliższego poznania.

Skręcił w długi korytarz i zobaczył ludzi wchodzących do windy. Ruszył biegiem lecz nie zdążył przed zamknięciem drzwi. Nikt ich też nie przytrzymał pomimo jego wołania. Skierował się do klatki schodowej i po dwóch piętrach zdał sobie sprawę,

że naprawdę musi coś oddać naturze. Wyszedł z klatki na tym samym piętrze gdzie niedawno składał zeznania i szybkim krokiem dotarł do toalety. Wszedł do jednej z kabin trzymając karton z rzeczami zabitego przed sobą. Rozejrzał się i zdecydował położyć go pomiędzy swoimi nogami. Zamknął drzwi i przystąpił do rzeczy. Był pewien swej precyzji i dopiero później zauważył na pokrywie kartonu dowody swojej obecności w toalecie. Sięgnął po papier by zacząć je usuwać, gdy nagle drzwi kabiny zostały wyważone; uderzyły chłopaka z takim impetem, że rzuciło nim o ścianę. Do kabiny wszedł wysoki mężczyzna w ciemnym płaszczu. Wycelował w Roya pistolet z długim tłumikiem i oddał dwa strzały w sam środek jego czoła. Schylił się unosząc pokrywę kartonu. Wyciągnął z niego złotą bransoletę zdobioną czerwonymi kamieniami i schował ją do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Zamknął kabinę z martwym funkcjonariuszem w środku. Wyszedł z toalety i zaczął spokojnie iść korytarzem. Nikt nie przeszkodził mu w opuszczeniu budynku.

* * *

Wyszedł z budynku i skierował się na południe. Po przejściu dwóch przecznic upewnił się, że nikt go nie śledzi i skręcił w wąski zaułek pomiędzy dwoma budynkami przemysłowymi. Wyciągnął z wnętrza płaszcza złotą bransoletę i założył ją na przegub lewej dłoni. Bransoleta zwęziła się dostosowując do jego nadgarstka, a rząd kamieni przekręcił się ustawiając jeden z kamieni dokładnie na jego środku. Dotknął go i przytrzymał na nim palec; po chwili zaczął pulsować delikatnym, zielonkawym światłem. Przekręcił go o ćwierć obrotu w lewo. Zielonkawe podświetlenie zmieniło się na czerwone i zniknęło kilka sekund po tym, jak cofnął palec. Sięgnął ponownie do wnętrza płaszcza. Wyciągnął mały tablet i spojrzał na jego ekran. Z satysfakcją stwierdził, że bransoleta przestała emitować sygnał pozwalający na jej lokalizację.

Wyciągnął czerwony kamień z bransolety i włożył do ucha. Nacisnął go. Przy jego policzku pojawiła się holograficzna

słuchawka. Nim zdołał cokolwiek powiedzieć usłyszał głos starszej kobiety:

– Derrek, musisz się spieszyć... – urwała.

– Marta? Co się dzieje?

– Znaleźli nas. Właśnie forsują wewnętrzne drzwi.

– Już do ciebie jadę! – krzyknął wybiegając z zaułka i rozglądając się za taksówką.

– Nie! – krzyknęła. – Liczy się tylko misja. Musisz to zrobić sam.

– Ale..

– Nie! – przerwała mu. – Wiesz gdzie i jak się tam dostać. Musisz to zrobić teraz!

– Marta, ja nie mogę cię zostawić...

– Już jest za późno! Idź!... – głos kobiety przerwał głośny huk i transmisja została zakończona.

– Marta! Marta! – Mężczyzna krzyczał rozglądając się wciąż za taksówką. Gdy w końcu zauważył jakąś zawahał się.

– „Jest już za późno. Misja jest najważniejsza.” – przywoływał w myślach słowa kobiety. Był rozdarty. Marta była dla niego jak matka, której nigdy miał. Znalazła jego i Samsona na ulicy gdy mieli po dziesięć lat i praktycznie wychowała; prowadziła ich edukację i trening. Nawet gdy czasami otrzymywał od niej ostrą reprimendę, zawsze przychodziła do niego pod koniec dnia, by porozmawiać. Uwielbiał te rozmowy. To był jedyny czas gdy czuł, że jest kochany, chociaż nigdy mu tego nie powiedziała.

– Marta... – wyszeptał zaciskając pięści. Spojrzał na bransoletę. Samson oddał życie by ją zdobyć. Czuł gniew zmieszany z rozpaczą. Wszyscy jego bliscy, cała jego rodzina

zginęła przez ten pieprzony kawałek gówna. Teraz tylko od niego zależało, czy ich poświęcenie pójdzie na marne.

Ta ostatnia myśl otrzeźwiła go i uniósł rękę wzywając nadjeżdżającą taksówkę. Zatrzymała się i wsiadł do środka.

– Na Aleje Oklahoma pięćset czterdzieści osiem – powiedział do kierowcy.

Ruszyli i po chwili dołączyli się do ruchu na jednej z głównych ulic Waszyngtonu. Dwadzieścia minut później byli na miejscu.

– Jedenaście dolarów – oznajmił kierowca zatrzymując się przed jednym z domów, mieszczącym się w długim ciągu budynków z czerwonej cegły.

Dał kierowcy dwadzieścia dolarów i wysiadł z taksówki. Odczekał aż odjedzie i ruszył w stronę Kingman Park. Przeszedł przez targowisko rolników mieszczące się na wydzielonej części parkingu stadionu Roberta F. Kennedy. Szedł szeroką aleją prowadzącą w głąb parku, a następnie drewnianym moło nad jeziorem, na którego środku znajdowała się wyspa ze Skansenem. Dotarł do szlaku ciągnącego się na południe wyspy. Po kilkuset metrach zszedł z niego znikając w gęstwinie drzew i wysokich krzewów. Upewnił się, że nie ma nikogo w pobliżu i podciągnął lewy rękaw płaszcza. Przyjrzał się uważnie bransolecie. Pasma z sześcioma czerwonymi kamieniami było osadzone na szerszej podstawie. Kciukiem i palcem wskazującym nacisnął górny i dolny kamień przytrzymując je przez chwilę. Gdy kamienie zapłonęły czerwonym światłem cofnął palce. Węższe pasmo bransolety zaczęło się obracać. Wyciągnął przed siebie lewe ramię i powolnym ruchem zaczął zakreślać okrąg. Gdy jego ręka wskazała północny wschód bransoleta przestała się obracać. Wszystkie jej kamienie podświetliły się delikatnym, niebiesko-zielonkawym kolorem.

– „Mam cię” – pomyślał. Na podstawie informacji, które uzyskali od swojego źródła w agencji wywiadu wojskowego

wiedział, że niebieskie podświetlenie bransolety oznaczało wykrycie struktury powiązanej z nią technologicznie. Ruszył wolnym krokiem na północny wschód. Po chwili poczuł jak bransoleta zaczyna ciągnąć jego rękę w dół. Zatrzymał się i uważnie przyglądał podłożu. Nie zauważył niczego niezwykłego. Zacisnął lewą dłoń w pięść i skierował ją w dół. Wszystkie kamienie rozbłysły czerwonym światłem i po chwili odłączyły się od bransolety wlatując w ziemię. Poczuł lekkie drżenie gruntu pod nogami. Cofnął się kilka korków i wyciągnął z wnętrza płaszcza pistolet z tłumikiem. Kilkumetrowe połączenie gruntu zaczęło coraz silniej drgać i kilka sekund później uniosło się na wysokość przeszło dwóch metrów. Zobaczył przed sobą okrągłą platformę otoczoną szklanymi ścianami, na której szczycie znajdowała się gruba warstwa ziemi. Jedna ze ścian przesunęła się w bok otwierając wejście.

– „Do środka prowadzi winda zjeżdżająca trzysta metrów w dół”
– przypomniał sobie słowa ich człowieka w wywiadzie wojskowym. Wszedł ostrożnie do środka, cały czas trzymając wyciągniętą broń. Gdy stanął na środku platformy czerwone kamienie wleciały za nim i wróciły na swoje miejsce na bransolecie. Ściana zasunęła się zamykając windę i zaczęła powoli się obniżać. Gdy zjechała pod poziom gruntu znacznie przyspieszyła. Rozglądał się dookoła i widział tylko ziemię oraz skały o idealnie gładkiej powierzchni, które tworzyły pionowy tunel o średnicy blisko pięciu metrów. Stwierdził, że musiał zostać wydrążony przy pomocy potężnej wiązki lasera lub innej formy energii.

Blisko minutę później winda wyjechała z tunelu. Jego oczom ukazała się rozległa przestrzeń. Była oświetlona w kilku miejscach przy samym podłożu i dopiero gdy zbliżył się do niego dostrzegł jego gładką powierzchnię. Wydawało mu się, że była wykonana z betonu. Winda zatrzymała się na samym dole; jej ściana przesunęła się otwierając wyjście. Stał przez moment w bezruchu obserwując otoczenie. Podziemna przestrzeń była ogromnym, podłużnym tunelem. Za swoimi plecami zobaczył

gładką ścianę. Przed sobą w oddali paliło się kilka świateł i po chwili dostrzegł struktury na końcu tunelu. Wyszedł z windy ostrożnie stawiając kroki. Przykucnął i dotknął dłonią podłogi. Miał rację, to był beton. Wstał i ruszył przed siebie uważnie się rozglądając. Szerokość tunelu ocenił na ponad czterysta metrów. Cały wylany betonem, wyglądał jak ogromny, niezagospodarowany schron przeciwoatomowy. Za wyjątkiem trzech struktur znajdujących się niecały kilometr przed nim. Podeszedł do prawej ściany i szybkim krokiem ruszył w ich stronę.

Gdy przeszedł połowę dystansu zauważył, że struktury znajdują się na niewielkim podwyższeniu. Środkowa była największa i wyglądała jak jednopiętrowy domek letniskowy z wejściem od frontu, do którego prowadziły wąskie schody. Po jego bokach znajdowały się dwa, o połowę niższe sześciany bez widocznych otworów. Zatrzymał się kilkanaście metrów przed podwyższeniem ze strukturami i uważnie rozejrzał. Na drugim końcu betonowego tunelu cały czas stała przeszklona winda. Poza nią i betonowymi domkami przed nim nie było tutaj nic więcej. Nie tego się spodziewał. Nie potrafił powiedzieć dokładnie czego, ale na pewno nie tego. Miejsce wyglądało na porzucone. Zbliżył się do podwyższenia i wszedł na nie po stopniach stromych stopniach. Podeszedł do środkowej struktury z pistoletem wyciągniętym przed siebie. Wszedł powoli po schodach. Betonowy domek nie miał drzwi, ani okien. Tylko puste otwory. Wewnątrz panowała ciemność. Wyciągnął z płaszcza małą latarkę, którą skierował do środka. Budynek był pusty, za wyjątkiem dużego, płaskiego ekranu na ścianie naprzeciwko wejścia. Wszedł do środka i po kilku krokach całe pomieszczenie się podświetliło. Nie mógł dostrzec źródła światła. Cofnął się, przywarł do ściany obok wejścia i wstrzymał oddech. Niczego jednak nie usłyszał i po kilkunastu sekundach ruszył powoli w stronę ekranu na ścianie. Gdy zbliżył się do niego na ekranie pojawiła się postać mężczyzny w granatowym garniturze.

– Czekałem na ciebie – zwrócił się do Derreka.

Ten cofnął się o kilka kroków i zaczął celować najpierw w

ekran, a później dookoła siebie. Nie było tam jednak nikogo. Nie zauważył również żadnych kamer, ani innych urządzeń. Ściany budynku były jasne i idealnie gładkie. Odwrócił się z powrotem do ekranu i patrzył na mężczyznę w milczeniu.

– To jest moja ulubiona część – powiedział ten ostatni. – Bez problemów znaleźliśmy i rozbiliśmy waszą organizację. Jesteś ostatnim z nich i znalazłeś się dokładnie tam, gdzie chciałem cię mieć.

– Co to jest za miejsce i kim jesteś? – wtrącił pytanie Derrek.

– To miejsce zostało zbudowane specjalnie z myślą o takich grupach jak wasza, które za wszelką cenę chcą odkryć sekrety skrywane przez rząd Stanów Zjednoczonych. Tak? – spytał z ironicznym uśmiechem.

– Kim jesteś?

– Jestem członkiem organizacji, o której nigdy nie słyszałeś. Ba, nikt w rządzie USA nigdy nie słyszał. – Zrobił pauzę przewracając oczami. – Za wyjątkiem kilku kongresmenów, którzy pracują dla nas. – Uniósł palec wskazujący prawej dłoni. – Oni pracują dla nas. Nie odwrotnie.

– Kim jesteś? – spytał ponownie.

– Chacha, nie uwierzyłybyś, gdybym Ci powiedział. Nie pomieściłoby się to w twojej małej głowce.

– Jasne. Jesteś pewnie jakimś dupkiem w jednym z tajnych odgałęzień CIA albo NSA...

Jego domysły przerwał głośny śmiech mężczyzny na ekranie.

– Człowieku, ja nie pochodzę z tej planety!

Tym razem to Derrek wybuchnął śmiechem.

– Jasne, że nie. Jesteś kosmitą z sąsiedniej galaktyki, który

z nudów buduje puste, podziemne bunkry w całym kraju.

– Kosmitą – powtórzył przez śmiech mężczyzna w garniturze. – Tak, pewnie ziemskie dziecko tak właśnie by mnie nazwało.

– Przecież widzę, że jesteś człowiekiem – przerwał mu.

– No i co z tego? Naprawdę sądzisz, że ludzie zamieszkują tylko jedną planetę we wszechświecie?

Derrek nie odpowiedział. Rozglądnął się raz jeszcze dookoła, lecz nie zauważył żadnej zmiany. Po chwili zwrócił się do mężczyzny na ekranie:

– Powiedziałaś, że masz mnie dokładnie tam, gdzie chciałeś. Co to znaczy? O co tutaj chodzi?

– To jest najlepsza część. Bransoleta, którą nosisz teraz na przegubie, podobnie jak całe to miejsce, została stworzona specjalnie w celu identyfikacji i namierzenia takich grup jak twoja. Wasz kontakt w wywiadzie wojskowym też był podstawiony.

– Zrobił pauzę. Siedział w dużym fotelu, który zaskrzypiał gdy nachylił się do przodu, rosnąc na ekranie. – Wystarczyło, że daliśmy wam jeden gadżet technologiczny, by zaskarbić sobie wasze zaufanie. To było zbyt łatwe, naprawdę. – Dodał z satysfakcją w głosie. – Gdy tylko twój poprzednik skontaktował się z członkami waszej organizacji zdobyliśmy waszą lokalizację. I to wszystko dzięki bransolecie, którą nosisz teraz na rękę.

Derrek podciągnął lewy rękaw płaszcza i spojrzał na bransoletę. Jej kamienie podświetlały się naprzemiennie czerwonym światłem i gasły. Spróbował ją ściągnąć, lecz przylegała do jego przegubu niczym kajdan.

– A teraz pora na finał – powiedział mężczyzna na ekranie podciągając rękaw garnituru. Derrek zobaczył bransoletę identyczną jak jego, za wyjątkiem kamieni. Każdy był innego koloru.

– Niestety spieszę się i nie mam czasu na przeciąganie naszej rozmowy. – Po tych słowach mężczyzna nacisnął czerwony kamień z boku bransolety. Cały czas patrzył na niego z uśmiechem na twarzy.

Derrek poczuł ostry ból w lewym przedramieniu. Spojrzał na bransoletę i zauważył jak czerwone kamienie zaczynają chować się do wewnątrz. Ułamki sekund później ból stał się nie do zniesienia i padł na kolana. Kamienie wbiły się w jego ciało i podążały ku jego klatce wewnątrz jego ramienia. Wył z bólu rzucając się po podłodze. Chwilę później umarł w potwornych męczarniach rozrywanych wnętrzości.

* * *

Patrzył z satysfakcją na zwłoki mężczyzny w podziemnym bunkrze, który wpadł w jego pułapkę. Dotknął błękitnego kamienia na szczycie swojej bransolety. Holograficzny ekran przed nim zwęził się do cienkiej, pionowej linii i zniknął. Miał teraz przed sobą pokój hotelowy z dużym łóżkiem przy ścianie po prawej. Leżała na nim naga kobieta. Na jej czole pulsował delikatnym światłem purpurowy kamień. Musiał już iść. Zdecydował jednak, że ma czas na jeszcze jedną, szybką rzecz. Wypowiedział kilka słów szeptem. Błękitny kamień odłączył się od bransolety osiadając na środku jego czoła.

– Podejdź do mnie – powiedział do kobiety, która natychmiast wstała siadając na łóżku. – Na kolanach.

Uklękła i podeszła do niego na czworakach prężąc się i wypinając. Informował ją czego chce swoimi myślami, które stawały się jej własnymi, potężnymi pragnieniami. Uwielbiał być na tej planecie.

Wyszedł z hotelu i skierował się w prawo na bulwar Malcolma X. Wsiadł do taksówki oczekującej na postoju.

– Uniwersytet Kolumbii – rzucił do kierowcy.

Niecałe dziesięć minut później znaleźli się na Alei Amsterdam, tuż przed wejściem na teren uniwersytetu. Dał kierowcy dziesięć dolarów, chociaż ten zażądał tylko trzecią część tej kwoty. Gardził pieniędzmi na tej planecie. Jego cywilizacja już dawno pozostawiła tą prymitywną formę wymiany za sobą. Tutaj potrzebny był jeszcze tylko jeden skok technologiczny i można byłoby wprowadzić te same zasady. Każdemu człowiekowi wszczepia się w wieku trzynastu lat Towarzysza. Urządzenie, które w zależności od klasy społecznej do której przynależy, określa maksymalną kwotę zobowiązań jaką dany człowiek może zaciągnąć w ciągu jednego miesiąca. Kwota resetuje się po tym czasie i każdy ma nową pulę do swojej dyspozycji. Zaawansowanie technologiczne cywilizacji na jego planecie uwolniło już dawno ludzi od obowiązku pracy. Wszystko czego potrzebowali dostarczały im maszyny. Planeta została podzielona na trzy strefy, zgodnie z trzema klasami społecznymi. Ogół, Klasa Wyższa i Kasta Rządząca. On należał do tej drugiej i poprzez swoją służbę miał szansę towarzyszyć tej ostatniej.

Przeszedł alejką oglądając młode kobiety. Każda była piękniejsza niż większość na jego planecie. Nie potrafił dokładnie stwierdzić dlaczego. To były drobne różnice, które zmieniały bardzo wiele. Uśmiechnął się do siebie skręcając w stronę uniwersyteckiej biblioteki. Wszedł do środka i przeszedł pomiędzy stołami pełnymi ludzi. Na końcu skręcił w lewo i przeszedł do mniejszego pomieszczenia z regałami książek na ścianach i rzędami wygodnych foteli po obu stronach. Przeszedł jeszcze dwa podobne pomieszczenia i wszedł do małego pokoju po prawej. Zamknął za sobą drzwi. Stał na środku i podciągnął prawy rękaw garnituru. Dotknął dwa kamienie po wewnętrznej stronie nadgarstka. Przytrzymał. Oba zapłonęły własnym kolorem i po chwili podłoga pod jego stopami zaczęła emanować delikatnym, jasnym światłem.

– ArkDawana – powiedział kładąc akcent na środkową sylabę. Podłoga przekreśliła się o półobrotu zgodnie z ruchem wskazówek

zegara i zaczęła obniżać. Odjął palce od kamieni i zsunął rękaw garnituru. Gdy znalazł się pod poziomem podłogi platforma przyspieszyła. Spojrzał w górę i zobaczył jak otwór nad nim zamyka się z obu stron. Minutę później szedł wąskim korytarzem, który doprowadził go do dużej sali konferencyjnej. Przy owalnym stole na środku siedziało dwóch mężczyzn.

– Dawana – zwrócił się do niego mężczyzna na szczycie stołu. Był bardzo otyły i miał ciężki oddech. Słowa wypowiadał szybko, jak gdyby rzucał nimi w niego. – Czekaliśmy na ciebie.

Wywołany skinął delikatnie głową. Spojrzał na drugiego mężczyznę przy stole. Był nim PoraGarnel, członek kasty rządzącej z jego planety. To dzięki niemu Ark mógł być tutaj. Pora poręczył za niego i wstawił się u Rady, która warunkowo pozwoliła mu na przybycie na tą planetę. Normalnie przywilej podróży do innych gwiazd należał wyłącznie do Kasty Rządzącej. Klasie Wyższej powierzono dozór Ogółu i wypełnianie próśb Kasty. Próśb, którym nie można było odmówić bez poważnych konsekwencji.

– Usiądź z nami – polecił mu Pora. – To jest kongresmen Andrew Malik. Jest naszym sojusznikiem w realizowanym przez nas przedsięwzięciu.

Ark usiadł obok kongresmena i uważanie mu się przyjrzał. Miał czerwoną twarz, małe przekrwione oczy i śmierdziało od niego alkoholem. Poczuł obrzydzenie.

– Mamy dla pana niespodziankę – zaczął kongresmen. – W uznaniu za pana wzorową służbę przez ostatni rok, chciałbym osobiście wręczyć panu specjalne wyróżnienie. Przyznajemy je tylko nielicznym.

Ark spojrzał zaskoczony na PoraGarnel, który lekko się do niego uśmiechnął.

– „To mi się podoba” – pomyślał Ark i skinął głową patrząc na Malika.

– Zapraszam w takim razie do sali obok – powiedział kongresman wstając z trudem z krzesła.

Przeszli przez salę i wyszli z niej szerokimi drzwiami, które prowadziły do jeszcze większego pomieszczenia z ustawionymi na środku kilkunastoma rzędami krzeseł. Na ścianie po prawej znajdowała się ogromna szyba, za którą Ark dostrzegł małe pomieszczenie ze stołem na środku. Stał na nim bogato zdobiony drewniany kufer.

Mężczyźni podeszli do szyby i kongresmen wskazał na stół za nią.

– Bardzo proszę. Nikt przed panem tego nie otworzył. Dopilnowałem tego osobiście. – Uśmiechnął się do niego. Był to jeden z najbardziej sztucznych i wymuszonych uśmiechów jakie widział. Spojrzał na swojego przełożonego. Ten kiwną głową wskazując salę za szybą. Ark odetchnął głębiej i podszedł do drzwi z boku. Spojrzał jeszcze raz na PoraGarnel, który uśmiechnął się do niego. Coś mu tutaj nie pasowało. Zachowanie grubasa było co najmniej dziwne. Gdyby nie Pora wyszedłby stąd i zajął się jedną ze studentek w bibliotece. Miał nawet pomysł którą. Uśmiechnął się na myśl o brunetce pochylonej nad opasłym tomiskiem, którą widział na końcu głównej sali, zanim skręcił w ciąg pokoi z fotelami.

Wszedł do środka. Podszedł do stołu i przyjrzał się uważnie kufrowi. Był bogato zdobiony w płaskorzeźby stworzeń, których nigdy wcześniej nie widział. Z przodu znajdowała się szara płyta o przekątnej kilkunastu cali. Jedyne element, który nie pasował do całości. Spojrzał w prawo na mężczyznę za szybą. Kongresmen zachęcił go skinieniem głowy i kolejnym, sztucznym uśmiechem. Obiecał sobie, że poprosi PoraGarnel by to jemu przypadła przyjemność zabicia tego grubasa, gdy przestanie im być już potrzebny. Nikt z ludzi na tej planecie nie miał pojęcia jak jednostronny zawarł z nimi sojusz. Uśmiechnął się i wyciągnął rękę, którą położył na szarej płycie. Zamki kufra odskoczyły na zewnątrz. Sięgnął by unieść wieko gdy to

odskoczyło gwałtownie do tyłu.

– To specjalnie dla ciebie skurwysynu! – usłyszał krzyk kongresmena. Nim zdążył się odwrócić drzwi za jego plecami zatrzasnęły się. Z kufra wyleciał pionowo do góry czarny słup cieczy, która momentalnie się na niego rzuciła. Pokryła całą powierzchnię jego ciała, pozostawiając jedynie małe kółko obejmujące jego nos i oczy.

– Pamiętasz ją? – Znow usłyszał kongresmena. Cały obrócił się w stronę szyby, choć nie była to jego decyzja.

Na szybie wyświetlone było duże zdjęcie drobnej blondynki, z krótkimi blond włosami. Ubrana była w obcisłą, niebieska sukienkę i błękitne buty na obcasie. Od razu ją rozpoznał.

– Miesiąc temu! – podjął kongresmen krzykiem. – To był piątek wieczór! Podeszedłeś do niej w barze Krishna! Miała na imię Betty! Pamiętasz skurwysynu?! – krzyczał uderzając pięściami w szybę. – Zabiłeś ją pieprzony psie! I teraz za to zapłacisz! – Walił w szybę tak mocno, że rozbił sobie lewą rękę. PoraGarnel zaczął go uspokajać.

– „Zabiłem?” – Ark pomyślał zaskoczony. Fakt, ostro się z nią zabawiał przez weekend ale odstawił całą i zdrową pod bar, w którym ją spotkał. Chciał coś powiedzieć. Wyjaśnić.

– Umarła dwa tygodnie po tym jak z nią skończyłeś! – ryknął otyły mężczyzna. – PoraGarnel wydobył jej wspomnienia tamtego czasu! Zabiła się przez ciebie! – Jego głos drżał, a z ust ciekła ślina.

Ark cały czas patrzył na niego. Był odrażający. Naprawdę chciał go zabić. Ostatnią rzeczą jaką zobaczył był Pora naciskający coś na ciemnym pudełku trzymanym w ręce, którą skierował w jego stronę. Ciemna cieś zamknęła mały okrąg na jego twarzy i zaczął się dusić. Wysłał myślą polecenie bransolecie, lecz kamienie tkwiły w niej nieruchomo. Nie mogły wyrwać się z uścisku cieczy. Próbował się przewrócić. Sądził,

że tak będzie miał więcej opcji. Nie mógł się jednak ruszyć.

– Poznaj Megre! Jednego z najgroźniejszych drapieżników na księżycach naszych wspólnych sąsiadów! – Kongresman krzyknął choć wiedział, że mężczyzna nie może go już usłyszeć. Ark został zmiażdżony nim zdążył się udusić.

* * *

Stworzenie pierwszy raz w swoim krótkim życiu miało okazję wchłonąć tak duży organizm. Dokładnie tego potrzebowało, by móc dojrzeć i przybrać dorosłą formę. Niewielu Megre było to dane. Zaczęło zmieniać swoją barwę na coraz jaśniejszą, aż stało się niebieskie. Jego płynne ciało rozrosło się i wypełniło całe pomieszczenie. Było zbyt małe dla niego i zaczęło napierać na ściany. W tym momencie poczuło ostry ból na całym swym obrysie i w kilka sekund zamarzło. Chwilę później zostało pocięte przez wiązki laserów emitowane ze ścian.

* * *

Andrew Malik nacisnął czerwony przycisk na panelu wewnątrz ściany pod szybą zabijając Megre wiązkami czerwonych laserów. Ich temperatura była tak wysoka, że po kilku sekundach ciało zwierzęcia zmieniło się w formę gazową i zostało zassane przez parę wentylatorów stworzonych specjalnie w celu uwięzienia agresywnych oparów biologicznych.

– Nie! – krzyknął stojący obok niego PoraGarnel. – Przecież wiesz, że chcieliśmy je od was zabrać. Mam wszystko, by przetransportować je na orbitę! – Wciąż krzyczał patrząc na twarz otyłego kongresmena. Ten odwrócił się do niego po chwili i odparł:

– Nie w dojrzałej formie, Pora. Rozmawialiśmy już o tym. Żadna z naszych cywilizacji nie posiada technologii, która mogłaby uwięzić dorosły organizm Megre.

PoraGarnel patrzył na niego gniewnie. Oczywiście, że posiadali taką technologię. Tylko ten grubas i jego koledzy z tej prymitywnej planety o tym nie wiedzieli.

– Tak...oczywiście – powiedział opanowując się. Próbowali zdobyć Megre od ponad dwóch dekad ale systemy obronne Katian, ludzi mieszkających w układzie gwiazdnym odległym od ich rodzimej planety o cztery lata świetlne, każdorazowo niwelowały ich próby.

– Dziękuję za twoją pomoc. – Malik zwrócił się do PoraGarnel wyciągając w jego kierunku dłoń. Ten uściśnął ją choć tak naprawdę miał ochotę zabić go tam gdzie stał. Zrobiłby to gdyby nie fakt, że dwóch innych ludzi wiedziało o ich spotkaniu tutaj. Podobnie jak ArkDawana gardził tą cywilizacją, którą uważał za gorszą od Ogółu na swojej planecie. Dla członka Kasty Rządzącej było prawdziwym wyzwaniem rozmawiać z nimi jak równy z równym i nie okazywać swej pogardy. Żałował śmierci Dawana. Był dobrym sługą. Skutecznym. Jednak nawet na ich rodzimej planecie za to, co zrobił tym wszystkim kobietom zostałyby stracony. Jeżeli oczywiście kobiety te należałyby do Kasty lub Klasy Wyższej.

Andrew Malik wyjechał na platformie do biblioteki uniwersyteckiej i przeszedł główną salą z ludźmi ślęczącymi nad książkami. Zobaczył dwie młode kobiety podobne do Betty i przy każdej zboleło go serce. Jego rozpacz kołła jednak myśl o wydarzeniach sprzed chwili. Wyszedł z budynku biblioteki i przeszedł długą alejką do stojącej na ulicy limuzyny rządowej. Kierowca zawiózł go do portu lotniczego LaGuardia. Kongresmen spędził chwilę w toalecie lotniska wymotując. Dopiero teraz dotarło do niego, że zabił dzisiaj człowieka. Cały czas przywoływał w pamięci córkę, dni po tym gdy sobie przypominała i w końcu gdy zobaczył ją w pokoju hotelowym. Uciekła z domu, by odebrać sobie życie. Nie. Zrobił to, co powinien. I będzie musiał nauczyć się z tym żyć.

Wyszedł z toalety i wszedł do prywatnego samolotu, którym

tutaj przyleciał. Odkąd zaangażował się w przedsięwzięcie z Talanami miał do dyspozycji bardzo wiele wygod. I nigdy na nic nie czekał. Nie musiał. To inni czekali na niego. Tak jak tym razem piloci, którzy bezpiecznie dostarczyli go na lotnisko Dulles w Waszyngtonie. Tam czekał na niego kierowca, który zawiózł go do Białego Domu. Tam również go oczekiwano. Tak wyglądało jego życie od trzech lat i nie żałował swojej decyzji o podjęciu współpracy. Ostrzegano go, że nie będzie mógł się z tego wycofać. Nie potrafił sobie wyobrazić, dlaczego miałby chcieć to zrobić. Szczególnie teraz, gdy jego powiązania pozwoliły mu na odkrycie traumy córki, znalezienie winnego i wymierzenie sprawiedliwości.

– Kongresmenie – powitał go w jego własnym gabinecie wysoki mężczyzna w sile wieku. Miał surową, gładką twarz.

– Witaj EzgoDarma – odparł otyły mężczyzna, który z wyraźnym trudem doszedł do swojego miejsca za biurkiem i opadł na duży fotel. – Co cię do mnie sprowadza? – spytał przyglądając się mu uważnie. Ezgo był dowódcą Talan. Najwyższy rangą w ich Kaście, który był obecny na Ziemi. Malika fascynowała klasowość ich społeczeństwa i sposób w jaki został wprowadzony. Na prośbę otrzymał wgląd do ich historii i uważnie ją studiował. Bardzo chciał wprowadzić taki system tutaj. Wierzył, że wyeliminowałby on głód i nędzę gdyby każdy miał do dyspozycji taką samą kwotę do wydania. Co prawda system Zobowiązań na Talanie był czymś więcej niż pieniądze tutaj. Tam można było zobowiązywać ludzi; prawie każda forma zobowiązania była dopuszczalna. Na ziemi można byłoby jednak zorganizować to nieco inaczej. Bardziej humanitarnie. Potrzebna była tylko technologia pozwalająca na produkcję wszystkiego, co niezbędne. W tym pożywienia.

– Kongresmenie otrzymałem informację od PoraGarnel o wydarzeniach w Nowym Jorku – mężczyzna zaczął niskim, basowym głosem. – Jest mi niezmiernie przykro, że musiało do tego dojść. – Zrobił pauzę i przyjrzał się otyłemu mężczyźnie. Widział na jego twarzy napięcie i wyczekiwanie. Był spocony i

niecharakterystycznie dla siebie błady.

– Też tak uważam Ezgo. Mnie również jest bardzo przykro. Uwierz mi – powiedział wskazując głową na zdjęcie córki stojące na jego biurku.

– Rozumiem. Sam mam dwie córki i oddałbym dla nich wszystko. Nawet życie ich oprawców.

Malik przełknął ślinę i pokiwał głową. Poczuł ulgę, że najważniejszy z nich wszystkich rozumie jego powody i się z nimi zgadza.

– Jak realizacja naszej inwestycji na księżycu? – spytał kongresmen.

– Bardzo dobrze. Właśnie w tej sprawie dzisiaj tutaj przyszedłem. Chciałbym, żeby pan osobiście zobaczył zakończoną pierwszą fazę.

– Pierwszą fazę? – powtórzył po nim. – Już zbudowaliście całość?

– Tylko samą strukturę z wszystkimi instalacjami. Większym wyzwaniem będzie jej zagospodarowanie. – Uśmiechnął się wskazując głową zdjęcie Stephena Hawkinga na ścianie gabinetu, po prawej. Kongresmen wiedział, że chodzi mu o produkcję, do której zobowiązała się ziemia podpisując traktat o współpracy. Dopiero kończyli budowę maszyn, które będą produkować uzgodnione komponenty. Byli daleko w tyle i nie było to żadną tajemnicą.

– Moment – wtrącił Malik. – Powiedział pan, że chce żeby osobiście to zobaczył?

Ezgo skinął głową, co bardzo rozbawiło kongresmena.

– Panie Darma, nie wiem czy pan zauważył, ale miałem problemy żeby dostać się za to biurko. Pomysł bym poleciał w kosmos jest po prostu nierealny. Zginąłbym zanim opuściłbym atmosferę

ziemską.

– Nie będzie takiej potrzeby. Chciałbym pokazać panu technologię, którą dopiero co wprowadziliśmy do powszechnego użycia w ramach Kasty.

Wstał i podciągnął rękaw garnituru ukazując złotą bransoletę z wielokolorowymi kamieniami. Wypowiedział kilka słów ściszym głosem i kamienie odłączyły się od bransolety. Pięć z nich przeleciało na środek gabinetu i ułożyły się w obrys owalnego przejścia. Błękitny kamień podleciał do Ezgo i osiadł na środku jego czoła. Przywołał w umyśle obrazy oraz słowa, które aktywowały kamienie. Pośród nich pojawiła się czarna, płaska powierzchnia, która szybko zmieniła się w widok wnętrza jasnego pomieszczenia. Z jego okien widać było ścianę krateru księżyca, nad którą Malik dostrzegł wycinek Ziemi.

Kongresmen przez moment obserwował portal całkowicie zaskoczony. Widział wiele w swoim życiu, ale o czymś takim nawet nie śnił. W głębi serca uważał, że to jest niemożliwe. Nie chciał wierzyć własnym oczom.

– Niesamowite... – wyszeptał. – Czy to jest bezpieczne? – spytał odrywając oczy od niewiarygodnego fenomenu przyglądając się twarzy Ezgo.

– Całkowicie. Moje córki zaczęły używać tego w podróżach po kontynencie. – Uśmiechnął się wspominając je. Tęsknił za nimi. Był tutaj bez przerwy przez ostatnie pół roku. – Zapraszam. – Wskazał ręką na portal.

Kongresmen przez moment mu się przyglądał, po czym podjął decyzję. Wstał z trudem, przeczłapał dookoła biurka i podszedł do obrazu wnętrza struktury na księżycu, która pojawiła się w jego gabinecie. Odwrócił się i spojrzał jeszcze raz na Ezgo. Ten skinął głową uśmiechając się do niego.

– Mam nadzieję, że będzie pan zadowolony z tego, co udało nam się zbudować na waszym satelicie.

Malik odetchnął głębiej i obrócił się z powrotem do portalu. Nabrał powietrza do płuc i wykonał dwa kroki naprzód.

Jego płuca eksplodowały razem z resztą wnętrzości pozbawione uścisku ziemskiej atmosfery, a oczy zamarzły w kosmicznej próżni. Dryfował bezwładnie w połowie drogi pomiędzy planetą ziemską i księżycem.

* * *

EzgoDarma zmienił widok za polem na rzeczywisty i obserwował przez moment dryfujące zwłoki Andrew Malika. Chciał to zrobić od pierwszego spotkania z nim trzy lata temu. Budził w nim ogromną odrazę. Nie rozumiał jak ktoś mógł aż tak skrzywdzić swoje ciało.

Myślą przywołał kamienie do bransolety i wyszedł z gabinetu kongresmena, którego będzie trzeba zastąpić kimś bardziej przystępnym. Przeszedł kilka długich korytarzy i szerokie schody dostając się na drugie piętro. Zapukał do drzwi kongresmen Joan Bell. Po chwili bez odpowiedzi zapukał ponownie i drzwi przed nim otworzyła młoda kobieta.

– Czy pani senator jest u siebie? – spytał.

– Tak, właśnie skończyłyśmy spotkanie. Jestem jej nową asystentką. Marii Noble – powiedziała uśmiechając się i wyciągając do niego dłoń. Ujął ją i odwzajemnił uśmiech.

– EzgoDarma – powiedział kładąc akcent na trzecią sylabę. – Miło mi panią poznać.

Przepuściła go przodem. Wszedł i od razu zauważył drobną brunetkę za dużym, ciemnym biurkiem. Żywo gestykulowała rozmawiając przez telefon. Młoda kobieta wyszła zamykając za sobą drzwi. Ezgo podszedł i usiadł w środkowym fotelu z trzech stojących przed biurkiem kongresmen.

Spojrzała na niego i uśmiechając się uniosła ku górze palec wskazujący wolnej ręki. Odpowiedział jej uśmiechem i

cierpliwie czekał.

To był jedyny człowiek na tej planecie, z którym kontakt wydawał mu się naturalny. Być może dlatego, że była niezwykle podobna do jego partnerki na Talanie. Nie tylko fizycznie. Pomijając uderzające podobieństwo twarzy, miała też jej temperament. Odnajdywał to w niej bardzo pociągające. Wręcz niebezpiecznie. Na ich rodzimej planecie jego partnerka może zażądać amputacji jego narządu płciowego w przypadku zdrady z człowiekiem z Ogółu lub niżej. Także wiedział, że nic nigdy. To zapewniało mu klarowność ich relacji i pozwalało delektować się jej wyjątkową osobowością.

Joan Bell skończyła rozmowę i odetchnęła głęboko kładąc szeroko obie dłonie na biurku przed sobą.

– Ależ mamy kocioł z tegorocznym budżetem – powiedziała i odchyliła się w fotelu. – Wy też musicie przez to przechodzić na Talanie?

Ezgo musiał przemyśleć każdą odpowiedź na jej pytanie. Była diabelnie inteligentna i wiedział, że pilnie studiuje ich cywilizację. Była zafascynowana nim od samego początku, gdy dowiedziała się o ich istnieniu. Zaproponowano jej współpracę z inicjatywy Ezgo i sobie zarezerwował kontakty z nią.

– Nie, u nas technologia rozwiązała problemy budżetowe – odparł uśmiechając się.

– Jaka jest wysokość kwoty Zobowiązań dla członków Kasty Rządzącej na Talanie? – spytała.

– Kasta nie ma górnej granicy Zobowiązań. Jesteśmy innowatorami i pchamy naszą cywilizację do przodu. To my sięgnęliśmy gwiazd. To jest nasza rola i by móc ją realizować nie może nas nic ograniczać.

– Co na to Klasa Wyższa?

– Wiesz, im to się może nie podobać, ale muszą i przyjmują to

do wiadomości.

Mówił niskim głosem z ogromną pewnością siebie. Bardzo ją to w nim pociągało.

– A wasza trzecia klasa społeczna, Ogół? Co oni o tym sądzą?

– Ogół ma swoje problemy na planecie, które pochłaniają większość ich czasu.

– To znaczy? Nie interesują się tym, co robicie? – spytała nachylając się i opierając na biurku łokciami. Włosy zakołysały się przy jej twarzy.

Ezgo spytał siebie w myślach, czy na pewno nic nigdy.

– Ogół dowiaduje się o naszych sukcesach w swoim czasie. Nie konsultujemy z nim jednak naszych niepowodzeń. – Spojrzał na nią i po chwili dodał: – Takie też czasami się zdarzają.

Skinęła głową opadając z powrotem na oparcie fotela. Zamyśliła się i zapanowała cisza. Przez moment przyglądał się jej, po czym spytał:

– Czy chciałabyś być pierwszym członkiem Kongresu, który dokona inspekcji ukończonego pierwszego etapu naszej wspólnej inwestycji na waszym księżycu?

– Jasne. Za pół roku do dziewięciu miesięcy po treningu i szkoleniach z doświadczonymi astronautami.

Uśmiechnął się.

– Nie będzie takiej potrzeby. Chciałbym ci pokazać nasze najnowsze osiągnięcie. Dopiero co weszło do powszechnego użytku.

– Tylko w Kaście? – spytała przerywając mu.

– Tak – odpowiedział znów się uśmiechając. Nie poznawał siebie. Nigdy, w kontakcie z żadnym człowiekiem nie uśmiechnął

się więcej, niż raz. Gdy każdego z nich poznawał. Później nie było to już potrzebne.

– OK, to w takim razie o czym mówimy? – spytała.

Ezgo wstał podciągając rękaw garnituru i po wypowiedzeniu kilku słów szeptem kamienie utworzyły owalny portal. Niebieski kamień spoczął na jego czole i zapłonął błękitnym światłem. Joan Bell cała scena bardzo podnieciła i była tego całkowicie świadoma. Delektowała się każdą upływającą chwilą. Poziom jej adrenalinę skoczył jeszcze wyżej gdy zobaczyła przed sobą obraz księżyca zza szyby jasnego pomieszczenia. Wstała obchodząc biurko i podeszła do portalu. Dopiero teraz zobaczyła w tle wycinek kuli ziemskiej.

– Wystarczy, że wykonam kilka korków i znajdę się w miejscu, które teraz widzę?

– Dokładnie tak.

– Talanie przodem – odparła cofając się kilka kroków i spoglądając na niego wyzywająco. Nawet nie próbował powstrzymać uśmiechu.

Przeszedł przez portal i oglądnął się za siebie. Kongresmen wciąż stała w swoim gabinecie obserwując go uważnie. Zachęcił ją gestem dłoni do dołączenia do niego. Po krótkiej chwili wahania wykonała kilka kroków do przodu i znalazła się obok niego. Kamienie zamknęły przejście w przestrzeni po drugiej stronie i wróciły na jego bransoletę.

– Witam na ziemskim księżycu – powiedział Ezgo wskazując ręką widok za dużym oknem kilka metrów od nich.

Joan Bell zaczęła ostrożnie spacerować i po chwili spytała:

– Jak generujecie tutaj atmosferę?

– Ta technologia została udostępniona waszemu wojsku.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie – powiedziała podchodząc do szklanej ściany i omiatając wzrokiem widok zbocza krateru. Spojrzała w górę i zobaczyła wycinek kuli ziemskiej, który wydawał się dryfować w oceanie gwiazd.

– W sercu tej struktury znajduje się potężny generator pola elektromagnetycznego. Jest ono lokalnie synchronizowane przez wyspecjalizowaną SI z polem elektromagnetycznym wytwarzanym przez każdą żywą istotę.

– I stąd na mój organizm jej wywierana siła podobna do sił grawitacyjnych panujących na Ziemi?

– Dokładnie.

– Fascynujące – odparła przechodząc obok niego i kierując się w głąb pomieszczenia. – Jak duża jest ta struktura?

– Każdy poziom ma blisko dwa tysiące metrów kwadratowych. Jest ich w sumie pięć, plus jeden o połowę mniejszy na samej górze. Zgodnie z życzeniami waszego wojska.

Oprowadzał kongresmen i odpowiadał na wszystkie jej pytania przez blisko dwie godziny. Nawet nie zauważył upływu czasu i gdy wreszcie zorientował się która była godzina, niechętnie zakończył ich wspólne chwile na księżycu.

– Obawiam się, że musimy już wracać.

– Tak szybko? – spytała nie kryjąc rozczarowania.

– Tak. Jestem już spóźniony na spotkanie w sztabie generalnym waszych sił międzyplanetarnych.

Kongresmen skinęła głową i Ezgo otworzył portal przy pomocy kamieni.

– Czy możesz w ten sposób podróżować pomiędzy naszymi planetami? Wrócić do swojej żony gdy tylko będziesz tego chciał? – spytała utkwivszy wzrok na jego twarzy.

– Nie – odparł patrząc w jej oczy. – To są portale krótkiego zasięgu. Góra kilkaset milionów kilometrów.

Kobieta zaśmiała się odchylając głowę do tyłu.

– W stosunku do rozmiarów wszechświata to są bardzo małe odległości – dodał nie odrywając od niej oczu.

– W takim razie do zobaczenia EzgoDarma – powiedziała wyciągając w jego kierunku drobną dłoń. Ujął ją i przytrzymał dłużej patrząc w jej oczy.

– Do widzenia Joan Bell.

Kobieta przez chwilę przyglądała mu się, po czym przeszła przez portal. Gdy znalazła się w swoim gabinecie odwróciła się i raz jeszcze na niego spojrzała. Mężczyzna uśmiechnął się do niej i poleceniem wydanym myślą zamknął portal znikając z jej oczu.

Stał przez chwilę w pustej przestrzeni dochodząc do siebie. Dopiero teraz zdał sobie sprawę jak bardzo był podniecony. Pokręcił głową i wydał myślą polecenie kamieniom, które otworzyły nowy portal. Wszedł w niego i znalazł się w bazie wojskowej na Marsie. Przeszedł długim korytarzem i skręcił w lewo wchodząc do centrum dowodzenia. Dopiero po otwarciu grubych drzwi zdał sobie sprawę, że panuje tam duże zamieszanie.

– Pułkowniku, nadlatuje! – krzyknął młody mężczyzna w mundurze wojskowym. Nim Ezgo zdążył spytać co się dzieje, cała instalacja eksplodowała zabijając wszystkich w środku. Łącznie ponad trzy tysiące istnień.

* * *

Nawracał po udanym bombardowaniu, przekręcając łuskowatą dłonią z długimi pazurami w holograficznej sferze wyświetlanej tuż przed nim. Drugą dłonią ustawiał parametry kolejnego nalotu. Miał zapas energii na jeszcze jedną rundę. Komputer

pokładowy wskazywał zabicie wszystkich żywych stworzeń w strukturze na czerwonej planecie. Nie ufał jednak do końca technologii. Poza tym lubił niszczyć prymitywne budowle wzniesione przez niższe rasy. Podrzucił grubym ogonem, który upadł z drugiej strony fotela za nim. Syknął przez dwa rzędy ostrych zębów i przypuścił kolejny atak na powierzchnię planety.

– Darga, wracaj do statku matki – usłyszał ostry głos swego aNu, pierwszego nad nim.

– Wracam – odparł do małego popiersia jaszczura wyświeczonego po lewej. Krótkim ruchem dłoni zakończył komunikację i hologram jego pana zniknął.

Rozpędził mały statek wykorzystując grawitację Marsa i ruszył w stronę ogromnego okrętu wojennego stacjonującego przy gazowym olbrzymie nieopodal. Dotarcie do niego zajęło mu niecałe dwadzieścia minut. Usadowił statek w doku energetycznym i przetransportował się na pokład okrętu, zmieniając na krótką chwilę swoje ciało w energię. Znalazł się w sali odpraw wraz z innymi żołnierzami oczekującymi głównego ataku na błękitną planetę.

– Ssaki są najniższym z wszystkich gatunków w całym wszechświecie! Istnieją tylko w celu służenia nam, rasie panów! – Ogromny gad w długim, szarym płaszczu ryczał do blisko setki zebranych. – Bez wahania! Bez wątpliwości!

– Bez wahania! Bez wątpliwości! – zawtórowała mu cała sala.

Pilot statku podszedł do przemawiającego gdy wszyscy zaczęli się już rozchodzić.

– Popełniłeś błąd Darga – rzucił do niego oschłym tonem. – Wiesz jaki? – spytał i dopiero teraz na niego spojrzał.

Ten zastanowił się przez chwilę i odparł:

– Wyczerpałem wszystkie zapasy energetyczne statku.

– Tak. Pozostawiłeś siebie bezbronnym. Na łasce niespodzianki, którą mogłeś napotkać.

– Komputer wskazywał... – urwał nie dokańczając. Wiedział, że jego aNu miał jeszcze mniej zaufania do technologii niż on sam. Po chwili dodał: – Masz rację mądry Sagnuu. Wyciągnę lekcję...

– Oczywiście, że wyciągniesz – przerwał mu odwracając od niego wzrok. – Albo przestaniesz być moim uNa. – Wykonał krótki gest ręką pokrytą grubymi łuskami, nakazując mu odejście.

Sagnuu był starym i mądrym aNu i Darga chciał pozostać jego uNa. Wielu czekało na jego potknięcie, by dostąpić tego zaszczytu. Nie mógł na to pozwolić.

Wrócił do swojego statku, który czekał już na niego w pełni naładowany. Wyruszył wraz z dwustoma innymi pilotami w stronę planety ssaków. Czterdzieści minut później zbliżali się do jedyne go satelity błękitnej planety. Komputery pokładowe statków nie zarejestrowały na nim żadnej aktywności. Minęli go z pełną prędkością zaczynając nabierać kąta bezpiecznego wejścia w atmosferę. W tym momencie pojawiły się rozbłyski na powierzchni planety. Nim Darga zdążył zareagować jego statek został trafiony potężną wiązką, silnie skupionego białego światła. Nic nie poczuł gdy został całkowicie wymazany z wszechświata.

* * *

Kapral Fredderic MacDatrot siedział w holograficznej sferze. Każdy jego ruch zmieniał jej wnętrze, którym zarządzał. Wystrzelił wiązkę obrony planetarnej w obcy statek, który wcześniej zniszczył ludzką bazę na Marsie. Trafił idealnie w sam środek unicestwiając pilota na miejscu. Pozostałe dwieście statków zniszczył w niecałe pięć minut. Świadomość kaprała dosłownie podróżowała na wiązce, aż do spotkania namierzonego obiektu. Zauważonego tak naprawdę. To wystarczyło. Ogromne skupienie lasera przyspieszało jego prędkość do blisko

dwukrotnej prędkości światła. Przez setną część nanosekundy był w dwóch miejscach na raz. Bardziej to czuł niż rejestrował świadomie.

– Dobra robota! – pogratulował żołnierzowi dowódca bazy Stanów Zjednoczonych, która znajdowała na terytorium jednego z ich sojuszników. W pobliżu Warszawy.

– Panie pułkowniku obok Jowisza znajduje się ogromny obiekt o podobnej charakterystyce technologicznej jak zniszczone przed chwilą statki! – krzyknął sierżant przed którym wyświetlony był hologram Układu Słonecznego. – Ruszył w naszą stronę!

Pułkownik Thomas Dagossa przyjrzał się holograficznej mapie i sięgnął ucha:

– Panie generale jesteśmy atakowani przez potencjalnie silniejszego przeciwnika. Proszę o wsparcia Talan – powiedział trzymając palec przy prawym uchu. – Tak – odpowiedział niesłyszalnemu rozmówcy. – Tak jest.

Podszedł do kaprała MacDatrot wydając rozkaz:

– Połączyć wszystkie wiązki i uderzyć gdy obiekt będzie w połowie drogi pomiędzy Marsem i Ziemią!

Kaprał zaczął wykonywać przywodzące ruchy w sferze i wszystkie pięćdziesiąt pięć platform nachyliło się pod kątem, tworząc okrąg o średnicy ponad dwóch kilometrów. Czekał na sygnał sierżanta.

– Teraz!

Uwolnił energię ujętą dłońmi skierowanymi ku sobie i wysłał ją w kierunku obcego obiektu. Jego świadomość poszybowała mu na spotkanie. Posiadała niszczycielską moc, której nic nie mogło się przeciwstawić. Za wyjątkiem wielowarstwowych pól siłowych statku matki gadzich najeźdźców. Obiekt przyspieszył i nim kaprał mógł wysłać kolejną wiązkę, znalazł się tuż za ziemskim satelitą. Serią wyrzutów ogromnych połączeń plazmy wybił go z

orbity i pchnął w stronę Ziemi.

– Mój boże! – krzyknął sierżant monitorujący holograficzną mapę. – Księżyc uderzy w Warszawę za dwie i pół godziny!

Pułkownik skontaktował się z generałem, który udał się do dowódcy połączonych sztabów. Ten ostatni zwrócił się do Talan, dzięki czemu mieli wystarczająco dużo czasu, by wszystkich ewakuować i obrać kurs na swoją planetę.

Po upływie obliczonego naprędce przez sierżanta czasu wszyscy, którzy nie ewakuowali się z Ziemi zginęli. Ponad osiem miliardów ludzi. Ocalała jedynie ścisła elita, która odleciała na czterdziestu czterech statkach zbudowanych w tajemnicy przed resztą ludzkości. Nie było wśród nich kaprała Fredderica MacDatrot.

* * *

Królowa Ordana, prawowita matka wszystkich Drakonów w tym sektorze galaktyki, obserwowała jak błękitna planeta zmienia się w czerwone piekło. Seria eksplozji rozerwała ją na trzy olbrzymie części, które zaczęły oddalać się od siebie ciągnięte przez grawitację centralnej gwiazdy. Jedna z nich skierowała się bezpośrednio ku niej. Dwie pozostałe kontynuowały ruch okrężny wokół gwiazdy.

Ordana była świadoma wszystkiego w tym układzie gwiazdnym. Obserwowała czterdzieści cztery statki oddalające się od niej z ocalałą elitą ziemską. Odczekała wystarczająco długo, by w sercach prymitywnych stworzeń zakiełkowała nadzieja ujścia z życiem zagładzie ich planety. Gardziła ssakami nie tylko za słabość ich ciał i umysłów ale przede wszystkim za brak honoru. Żyła wystarczająco długo by wiedzieć, że na tych statkach znaleźli się nie ci ze zgłodzonej cywilizacji, którzy byli najbardziej godni ocalenia. Ssaki nie uznawały honoru za wartość wyższą od dóbr materialnym. Zagłady uniknęli ci, którzy zdominowali całą resztę przy pomocy materii i w jej posiadaniu upatrywali podstawę swego urojonego statusu.

Królowa monitorowała również blisko setkę statków oddalających się w przeciwnym kierunku. Były znacznie szybsze i posiadały inny znacznik technologiczny. To musiały być ssaki z innego układu gwiazdnego. Wysłała za nimi dwie sondy ze zdolnością do całkowitego maskowania swej obecności i skierowała się ku uciekającej elicie umarłej planety. Doścignęła ich w kilka minut. Statki podzieliły się na dwie grupy i zaczęły lecieć w przeciwnych kierunkach. Ordana ponownie użyła najpotężniejszej broni swego okrętu i wysłała obłoki plazmy w kierunku każdej z nich. Kilkanaście sekund później czterdzieści cztery statki przestały istnieć zmieniając się w plazmę, która rozproszy się całkowicie w próżni kosmicznej w przeciągu kilku godzin. Nim królowa ruszyła za pozostałymi zdecydowała wdrożyć kilka rozporządzeń. Wezwała do siebie Sagnuu, pierwszego z jej synów.

– Tak matko moja – zaczął jaszczur w długim, szarym płaszczu podchodząc do jej tronu, z którego kontrolowała cały okręt.

– Srogo mnie zawiodłeś najstarszy synu – zaczęła donośnym, głębokim głosem. – Straciliśmy dzisiaj dwieście statków, które unicestwiła niższa rasa. Zabijając między innymi twojego uNa.

– Tak pani – Sagnuu pokiwał pokornie podłużną głową. Uniósł na moment wzrok i spojrzał na swoją królową. Była blisko czterokrotnie większa od niego. Jego oczy znajdowały się na poziomie jej łuskowatego uda opartego na potężnym tronie.

– Poniesiesz konsekwencje tej hańby. Przez następny rok nie będziesz miał prawa być niczym aNu.

Jaszczur zacisnął paszczę zgrzytając dwoma rzędami zębów. Kara ta oznaczała dla niego dużą degradację. Pan bez sługi musiał służyć sam sobie. Nie śmiał jednak przeciwstawić się królowej. Oznaczałoby to natychmiastową śmierć, która niechybnie czekała nawet jego, najstarszego z jej synów.

– Tak moja królowo – odparł spuszczaając wzrok i kłaniając się jej.

– Powierzam ci zadanie odbudowy naszej floty statków. Poinformuj mnie gdy już tego dokonasz. A teraz zejdz mi z oczu.

Sagnuu uklonił się raz jeszcze i oddalił pośpiesznie. Czuł wyraźnie gniew w jej głosie i nie chciał być teraz w pobliżu. Mogła go zabić pomimo podjętej decyzji o pomniejszej karze. Takie było prawo królowej: zawsze mogła zmienić swą decyzję, którą wszyscy uznaliby za równie słuszną i właściwą jak poprzednia.

Nim skończyła swą rozmowę z Sagnuu straciła z oczu setkę ssaczyc statków. Była zaskoczona, a rzadko się zdarzało, by niższym rasą udała się ta sztuka. Skontaktowała się z wysłanymi wcześniej sondami, które znajdowały się teraz trzy układy gwiazdne dalej. To również ją zdziwiło. Statki tych stworzeń były szybsze, niż sądziła. Niewykluczone, że ta cywilizacja ssaków była o wiele bardziej zaawansowana, niż dopiero co unicestwiona. Jej gniew z powodu porażki najstarszego z jej synów oraz obraza jaką poczuła pod wpływem swojej własnej myśli, sugerującej zdolność do przeciwstawienia się Drakonom przez ssaki, wzięła górę i wydała myślą polecenie swemu okrętowi. Ten w ułamku sekundy nabrał ogromnej prędkości i z każdą upływającą chwilą coraz bardziej przyspieszał. Pół godziny później znalazła się na obrzeżach układu gwiazdnego, w którym znajdowały się wykryte wcześniej statki. Tkwiły nieruchomo obok dużej stacji orbitalnej przy szóstej planecie. Drugiej, licząc od centrum układu. Była to jedyna planeta zamieszkała przez ssaki. Ruszyła wprost na nią. Nie dopuszczała do wiadomości możliwości niepowodzenia. Jeszcze nigdy w całej historii ich rasy nie udało się niższym gatunkom w jakikolwiek sposób zagrozić Drakonom. Wiedziała, bez cienia wątpliwości, że tym razem będzie podobnie.

Gdy minęła czwartą planetę, z powierzchni drugiej od gwiazdy wystrzelono w jej kierunku potężną wiązkę białego światła. Blisko sześciokrotnie większą niż ta, której użyła poprzednia cywilizacja ssaków. Królowa miała trzy minuty na podjęcie

decyzji. Bardzo niechętnie, wręcz z nienawiścią dla samej siebie skupiła pole siłowe swego okrętu przed sobą. Jego warstwy z przodu zwielokrotniły się tworząc barierę nie do przebrnięcia nawet dla potężnych komet.

W tym samym momencie gdy została trafiona wiązką z planety Talan, w tył jej statku uderzyła zupełnie inna wiązka, którą wyemitowało niewidoczne dla niej źródło. Pole siłowe z przodu bez problemu poradziło sobie z oparciem się atakowi. Królowa zrozumiała, że dodatkowe nawarstwienie pola z jednej strony nie było potrzebne. Zawstydziała się tak bardzo, że dopiero po chwili zdała sobie sprawę z uszkodzenia tylnej ściany statku. Według jej odczytów wiązka, którą została zaatakowana z drugiej strony była głównie biologicznej natury. Gdy tylko zetknęła się z kadłubem jej okrętu momentalnie zaczęła do niego przylegać zżerając go z prędkością, której nigdy nie widziała. Pomimo jej prób broń trawiła statek i dopiero głębsza analiza substancji wykazała, że ma do czynienia z żywą istotą. Będąc na granicy utrzymania kontroli nad statkiem wykryła kolejny atak dochodzący z powierzchni planety Talan. Pole siłowe statku wciąż działało. Zignorowała to zagrożenie i skupiła się na opanowaniu intruza. Wstała ze swego tronu i podeszła do przeciwległej ściany. Ruchem ręki otworzyła ją i weszła do środka. Dwoma gestami uruchomiła interaktywny hologram, który sprawił, że czuła okręt całym swym ciałem i umysłem. Dzięki temu zaczęła otrzymywać informacje w czasie rzeczywistym i mogła szybko reagować. Zaczęła zamykać sekcje statku odległe od rozszerzającej się zarazy ścian okrętu i wydała polecenie wszystkim na pokładzie odłączenia jego tylnej części. Okręt wojenny, zbudowany według jej własnego projektu, tworzyły cztery, potężne moduły, które łączyło centrum statku gdzie zasiadała Królowa.

Odłączenie przebiegło pomyślnie i zarażona część zaczęła oddalać się od reszty. W tym momencie wykryła trzy kolejne wiązki ataku biologicznego. Nim zdążyła zareagować zaczęły trawić pozostałe moduły. Ordana podjęła decyzję o ucieczce i

porzuceniu swych dzieci. Nikt nigdy o tym się nie dowie. Jeżeli któreś z jej dzieci przeżyje będzie jej obowiązkiem zakończyć jego życie. By mogła dalej być królową matką i dać początek setką tysięcy Drakonom. By jej chwała i honor lśniły przez kolejne miliony lat.

Zasiadła na tronie i wprowadziła sekwencję odłączenia od wszystkich modułów. Gdy tylko to zostanie osiągnięte, centrum statku momentalnie przyspieszy do prędkości światła obierając kierunek najbliższej planety rządzonej przez jej rasę. Gdy centrum było w trakcie odłączania się od ostatniego modułu, zostało trafione dwoma biologicznymi wiązkami i zaczęło być trawione jak reszta jej okrętu. Królowa zawyła tak potężnie, że zadrżały wokół niej ściany. Dobyła swej potężnej włóczni i czekała na wroga. Gotowa do ostatniego starcia. Dumna i pełna honoru jak zawsze.

Gdy w ścianie wewnętrznej komory centrum pojawiła się wyrwa, porwała ją próżnia domagająca się wszystkiego wewnątrz. Jej pazury, które wbiła w pokład statku, zostały wyrwane. Z okrzykiem bólu na ogromnym pysku wleciała nim w szczelinę. Próżnia zabiła ją szybciej niż biologiczna broń ssaków.

* * *

Kapitan Max Heyman obserwował z pokładu swego niewidzialnego myśliwca pożerany statek najeźdźców. Po dłuższej chwili i upewnieniu się o skuteczności swego ataku, wysłał do statku dowodzenia informację o sukcesie nowej broni biologicznej stworzonej na bazie organizmu Megre.

– Nie musieliśmy zawierać sojuszu z Talanami – usłyszał w słuchawce hełmu głos generała Dana Callade. – Teraz będziemy musieli dostarczyć im trzy egzemplarze Megre.

– Z moich odczytów jednoznacznie wynika, że nasza broń bez problemu spenetrowała pole ochronne okrętu wroga. Talanie w niczym nam nie pomogli – uzasadniał kapitan.

– Wiesz jacy oni są. Któryś z nich tylko spojrzy w naszą stronę i uważa, że wyświadczył nam przysługę. To z nimi nie przejdzie bez konfliktu...

– Może powinniśmy pokazać im pazury – wszedł generałowi w zdanie. – W końcu wszyscy doskonale wiemy, że prędzej czy później wykorzystają tę broń przeciwko nam.

Przez moment nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

– Generale?

– Rozumiem twoje słowa kapitanie. Wróć na statek dowodzenia. Musimy porozmawiać.

– Tak jest.

Kapitan oddalił się od wraku okrętu najeźdźców, który był teraz o połowę mniejszy od swego pierwotnego rozmiaru. Skierował się na orbitę przedostatniej planety układu gwiazdnego Talan. Był bardzo zadowolony z przebiegu całej akcji. Być może uda mu się przekonać dowództwo, że lepszy jest konflikt z wrogiem gorzej uzbrojonym, niż tymczasowy sojusz z agresorem dysponującym równą siłą.

Gdy mijał ostatnią planetę przed celem swojej podróży został zaatakowany z obu stron przez statki, które wyłoniły się spoza zasięgów jego sensorów, chociaż były teraz blisko niego.

– „Pieprzeni Talanie skopiowali naszą technologię maskowania.”
– pomyślał Heyman gdy jego statek zaczął tracić zasilanie. Trafili go w komorę fuzji i stracił przepływ plazmy w całym statku. Próbował manewrować i uciekać w stronę pobliskiego księżyca. Po kilku sekundach otrzymał kolejne dwa uderzenia wiązkami białego światła o ogromnym skupieniu. Wypaliły dziurę w burcie jego statku odsłaniając kabinę pilota próżni, która powitała go zimno i gwałtownie.

* * *

GotAkord podleciał swoim myśliwcem do zwłok Katianina upewniając się, że ten nie żyje. Był przekonany, że to jego strzał go zabił. Punkt na pewno pójdzie na jego konto. Przeskanował jego ciało w poszukiwaniu technologii.

– Got, nie po to tutaj przylecieliśmy.

– Kapitan mówił, żeby szukać u nich technologii osobistych. Wyżsi rangą żołnierze mogą mieć pola ochronne. Nam bardzo by się taka technologia przydała.

– Jesteśmy tutaj, żeby przywieźć na Talan broń absolutną. Widziałeś, co zrobiła z tamtym okrętem? Nasza obrona wiązek świetlnych nie miała większego efektu na jego polu siłowym. A Katianie bez problemu przebili się do jego kadłuba! I, o Panie, widziałeś jak ich statek został pożarty?

– Widziałem HulDarna i przestań z tym Panem. Ja nie mam pana nad sobą.

– Chacha, masz jak my wszyscy. Należysz do Klasy Wyższej i służyysz Kaście. To oni rządzą, a my się dostosowujemy.

– Nie zawsze.

– Ile razy widziałeś odstępstwo od tej reguły nie ukarane śmiercią. Co trzeci? Czwarty? Nigdy nie wiesz kiedy ryzykujesz cenę ostateczną.

– Wiem. Widzę to na ich twarzach. W ich oczach. Obawiają się nas i grają z nami groźbami bez pokrycia.

– Dość. Nie będę z tobą rozmawiał o tym przez radio wojskowe.

– Dokładnie dupki – wtrącił generał cały czas dzielący z nimi częstotliwość, która zbyt wolno rotowała dla jego sprzętu szpiegowskiego. – Jak wrócicie to sobie porozmawiamy o waszych postawach względem naszych dobroczyńców. A teraz zamknąć mordy i przywieźć mi tutaj tą broń!

– Tak jest panie generale! – krzyknęli obaj piloci jednocześnie i zbliżyli się do wraku statku Katianina. Ostrożnie wycieli część gdzie umiejscowiono działo biologiczne. Ujęli je w podwójną wiązkę holowniczą i zaczęli nabierać prędkości z maksymalnym przyspieszeniem na jakie pozwalały możliwości holowania.

– Szybciej! – krzyknął do nich kapitan przez radio. – Ruszył za wami statek dowodzenia Katian! Pospieszcie się!

Przyspieszyli cały czas obserwując holowaną technologię. W tym momencie odnotowali wystrzał ze statku wojennego. Wiązka zielonego światła dotarła do działu biologicznego nim mogli wykonać jakikolwiek manewr. Nigdy nie widzieli światła poruszającego się tak szybko. Działo zostało całkowicie unicestwione. Statek Katian zatrzymał się i zaczął oddalać w stronę swej rodzimej planety. Opuszczał ich układ gwiazdny.

– Do ataku! – krzyknął GotAkord i ruszył za nim.

– Got! Idioto zatrzymaj się! Oni cię zabiją!

Nie słuchał. Od tej misji zależał jego awans i zaręczyny z córką generała. Obiecał mu to, a jego córeczka robi, co jej tatuś każe. Ukrył swoją obecność i leciał za statkiem wojennym. Skanował w poszukiwaniu anomalii. Takiej samej jaką było dla ich sensorów działo biologiczne. W końcu znalazł. Nie jedną, a cztery. Przyspieszył maksymalnie i po dziesięciu minutach znalazł się sto tysięcy kilometrów od burty statku Katian. Nie wykryli go dzięki jego technologii maskowania. Opracowali ją sami. Tak twierdziła Kasta Wyższa. A on w to wierzył.

Wycelował uważnie i wystrzelił wiązkę białego światła w prawą stronę u dołu. Przebił się do dolnego pokładu i odsłonił pomieszczenie, w którym trzymano jedno z dział. Powiększył obraz otworu i stwierdził, że jest ono dopiero budowane. Z tego co zobaczył, prawie skończone. Uznał to za wystarczające i wycelował wiązkę holowniczą. Uchwyciła działo i wyrwała ze

ściany, na której było osadzone. Nim zdołał wyciągnąć je poza statek Katian, został unicestwiony wiązką zielonego światła, która zredukowała go do najdrobniejszych kwantów.

* * *

Generał Dan Callade zatrzymał statek przy siódmej planecie i osobiście unicestwił Talanina. Był gotowy oddać się w ręce Talan jako niewolnik, niż pozwolić na rozpętanie wojny. To była jego decyzja. Dlatego musiał zrobić to osobiście.

Rozpoczęli naprawy kadłuba statku, by móc podróżować z połową prędkości światła. Na tyle pozwalała ich technologia. Talanie mieli znacznie szybsze myśliwce i z łatwością mogły ich dogonić. Dzisiaj jednak po raz pierwszy Katianie pokazali zieloną wiązkę i miał nadzieję, że sąsiedzi przemyślą dwa razy wszystko dokładnie, nim podejmą pochopne decyzje.

Czas napraw oceniono na pół godziny. Tyle potrzeba było na hermetyczne załatanie zewnętrznej części statku, która utrzymałaby podstawowe pole ochronne. To chroniące kadłub przed kosmicznym gruzem, zbyt małym by wykryły go ich urządzenia pokładowe.

– Generale, zbliża się do nas sześć statków wojennych Talan! – krzyknął młody mężczyzna przy hologramie układu gwiazdnego. – Teraz już dziewięć! Pierwsze dwa znajdują się na naszej pozycji za dwadzieścia minut!

Callade zamyślił się. I przez moment ze spuszczonym wzrokiem spacerował po mostku. Wszyscy żołnierze w wysokich krzesłach dookoła obserwowali go uważnie.

– Zainstalować i uaktualnić do stanu gotowości dwa działa Megre! – krzyknął nagle generał.

Żołnierze przez moment nie zareagowali. Byli zaskoczeni. Po krótkim ponagleniu zaczęli wykonywać rozkaz generała i wydawać polecenia wojskowym w innych częściach statku.

– Dwanaście minut – usłyszał od jednego z żołnierzy w fotelach na mostku.

– Za ile dotrze tutaj pierwsza dwójka? – spytał generał.

– Piętnaście minut.

– Nie prześcigniemy ich. Są blisko dwukrotnie szybsi od nas. – Zrobił pauzę. Zwrócił się w końcu do młodego żołnierza po swojej prawej:

– Chcę przemówić do załogi.

Ten skinął głową i kilka sekund później potwierdził gestem, że jest teraz słyszany na całym statku.

– Tutaj generał Dan Callade. Nie przerywajcie swojej pracy ale uważnie mnie słuchajcie. Nie możecie przerwać pracy, bo nie zdążymy i dostaniemy się do niewoli Talan. – Odetchnął głębiej dając sobie kilka sekund i mówił dalej: – Jesteśmy cywilizowanymi ludźmi, którzy już dawno zrozumieli, że najwyższą wartością jest życie. Hołdujemy wartościom wspierających, troszczących się i dających warunki do rozwoju życia. Taką jesteśmy cywilizacją i nic tego nie zmieni. Osobiście jestem dumny z bycia jej członkiem. Synem, bratem, mężem i ojcem. – Zrobił pauzę. Rozglądnął się po twarzach młodych ludzi wokół siebie. – Są jednak chwile jak ta, gdy takie jednostki jak my są zmuszone do podjęcia dramatycznych decyzji. Sprzecznych z naszą naturą. Niedopuszczalnych. Lecz uzasadnionych. Jeżeli w ręce Talan dostanie się Megre, a szczególnie nasza modyfikacja tych organizmów... – wziął głęboki oddech, który usłyszał cały statek – ...napadną na nas i zniewolą lub wręcz unicestwią. Zrobią to samo z dziesiątkami innych cywilizacji. Nie mamy wyjścia jak walczyć. Tu i teraz. – Przerwał przełykając ślinę i biorąc głębszy oddech. – Nie mamy wyjścia – powtórzył. Po chwili dodał. – Niech nasze dzieci nam wybaczą. Powodzenia żołnierze! – Gestem pokazał młodemu żołnierzowi, by zakończył transmisję.

Działa Megre były gotowe minutę później, niż przewidywano. Pozostały dwie minuty do przybycia statków Talan. Generał podszedł do frontowej szyby mostka i spojrzał na nadlatujących. W tym momencie jeden z nich wystrzelił snop białego światła, które wypaliło w mostku ogromną dziurę zabijając generała i młodych żołnierzy w wysokich fotelach. Katianie nie mieli aktualnych informacji na temat zasięgu broni sąsiadów.

* * *

– Tak! – krzyknął QuoPadra. – Mamy sukinsyna!

– Brawo, mój panie! – krzyknęło kilku obecnych na mostku.

– Nieźle Padra – usłyszał gdy z jego lewej pojawił się mały hologram mężczyzny w białym mundurze.

– Wiem DarGodda. Ale dzięki – odparł. W Kaście panuje zwyczaj uznawania sukcesów innych. Każdy ze statków wojennych Talan miał co najmniej trzech przedstawicieli Kasty Rządzącej na pokładzie. Każdy z nich dzierżył możliwość autodestrukcji statku. Na wypadek gdyby Klasa Wyższa spróbowała przejąć kontrolę nad technologią, którą jedynie obsługiwali. Dla Kasty byli środkiem realizacji celów. Nie każdy kapitan wiedział jak działa, a tym bardziej jak obsługiwać taki statek. Jego obowiązkiem była inspirująca obecność i wydawanie rozkazów.

Statek Godda zwolnił i zgodnie z rozkazami zatrzymał się poza polem rażenia wiązek Katian. QuoPadra nie zmienił jednak prędkości i zbliżał się coraz bardziej do statku dowodzenia.

– Padra, zwariowałaś? Jesteś za blisko!

– Nie panikuj Godda. Nic nie są w stanie zrobić. – Zaśmiał się do małej, holograficznej postaci po lewej i dodał: – Zaraz wrócę do ciebie z naszym biologicznym trofeum.

Godda jeszcze kilka razy próbował go przekonać do zawrócenia, lecz bez skutku. QuoPadra zbliżył się do statku Katian na sto

pięćdziesiąt tysięcy kilometrów i zaczął uważnie go skanować. Odnalazł cztery działa Megre. Jego komputer pokładowy wskazywał, że dwa z nich zostały zainstalowane w systemach statku i uzbrojone. W chwili odczytywania wskazań z holograficznego panelu, Katianie wystrzelili w jego kierunku zieloną wiązkę. Statek wojenny Padry automatycznie podniósł poziom energii pól ochronnych i atak został odparty. Z ogromnym trudem dla generatora pola. Drugiego takiego ataku jego statek nie przetrwa.

QuoPadra podjął decyzję o szybkim wyrwaniu jednego z dział potężną wiązką holowniczą i oddaleniu się z prędkością światła. Gdy zaczął wprowadzać sekwencję zdarzeń, Katianie znów zaatakowali. Tym razem wystrzelono w jego kierunku ciemną wiązkę, która bez problemu przeniknęła resztki jego pola siłowego i zaczęła niszczyć kadłub. Otrzymywał informacje o dekompresji kolejnych pokładów i pierwszych ofiarach. Wydał polecenie kontrataku. Katianie uprzedzili go jednak i zielona wiązka zdeintegrowała niemal cały statek wojenny Talan, zabijając jego kapitana.

* * *

Pułkownik Hindał objął dowodzenie na mostku pomocniczym w drugiej części statku. Na całym jego ciele wyświetlany był hologram, który reagował na każdy jego ruch. Zniszczył statek wojenny Talan. Monitorował przebieg napraw, których czas wydłużył się teraz do szesnastu minut. Drugi statek wojenny pozostał na miejscu, czekając na przybycie reszty. Po pięciu minutach przybył jeden. Po kolejnych siedmiu trzy następne. Nie czekali na więcej. Ruszyli w stronę statku Katian.

Pułkownik podjął decyzję. Otworzył pasmo komunikacji obejmujące cały statek i zwrócił się do załogi:

– Tutaj pułkownik Jonas Hindał. Zbliżyła się do nas pięć statków wojennych Talan. Nie mamy żadnych szans na ucieczkę. Nasza broń nie zdąży odeprzeć przeciwników. Zostaniemy zniszczeni.

Zgodnie z rozkazami generała Dana Callade, wierząc całkowicie w ich słuszność, uruchomiłem mechanizm autodestrukcji statku dowodzenia. Macie pięć minut na ewakuację. – Zakończył transmisję gestem lewej ręki. Prawą zainicjował sekwencję autodestrukcji. Nie chciał tego robić zanim poinformuje załogę. Pozostało niespełna pięć minut do eksplozji dwóch ładunków nuklearnych, o sile wystarczającej by zniszczyć zmodyfikowany organizm Megre.

Katianie w pośpiechu zajmowali kapsuły ratunkowe, które po wystrzeleniu ze statku automatycznie kierowały się w stronę rodzimej planety. Przyspieszały do połowy prędkości światła, którą utrzymywały przez kilka minut. Na tyle pozwalały zapasy energii kapsuł. Później utrzymywały prędkość pięciu tysięcy kilometrów na sekundę. Emitowały również sygnał alarmowy na częstotliwościach stale monitorowanych przez Katian.

Jonas Hindał skierował wszystkie działa na zbliżające się statki Talan. Był w stanie wystrzelić jednocześnie z pięciu dział i trafić w każdy z nich. Dwa na pewno osiągnęłyby swoje cele. Postanowił zaatakować tylko wtedy, gdyby Talanie spróbowali zniszczyć kapsuły. Uważnie obserwował całą sytuację. Gdy ostatnia z kapsuł opuściła statek dowodzenia i osiągnęła swą maksymalną prędkość, przyspieszył zegar mechanizmu autodestrukcji. Z ponad dwóch minut zszedł do dwudziestu sekund. Na tyle ocenił czas potrzebny, by statki Talan znalazły się w zasięgu eksplozji nuklearnej. Nie powinna ich zniszczyć ale na pewno zająć na dłuższą chwilę. Kapsuły ratunkowe potrzebowały odpowiednio dużo czasu, by mogła dotrzeć do nich pomoc Katian.

Pułkownik Hindał został zabity snopem białego światła, które przebiło na wylot statek dowodzenia.

* * *

– Drugi mostek statku został zniszczony. Sensory nie pokazują już żadnych form życia na pokładzie. – BarGorden zwerbalizował

zawartość hologramów emitowanych przed każdym z kapitanów.

– Gratulacje Gorden – usłyszał od pozostałej czwórki.

– Dziękuję – odparł obojętnie chociaż bardzo cenił zwyczaje Kasty. Były dla niego ważne. – A teraz pora na naszą nagrodę – dodał gdy zbliżyli się do statku Katian na sto tysięcy kilometrów. O wiele bliżej, niż sądził pułkownik Jonas Hindał. Eksplozja dwóch ładunków nuklearnych wytworzyła nakładające się na siebie fale uderzeniowe, które zdestabilizowały statki Talan. Wytworzyło to lukę w ich systemach, która chwilowo opuściła pola siłowe wokół nich. Wszystkie pięć zostały zniszczone, eksplodując. Dopiero po pół godzinie na miejsce dotarły pozostałe statki Talan, którym nie udało się pozyskać destrukcyjnej technologii sąsiadów.

KONIEC

Autorstwo: Szymon Dąbrowski

Źródło: WolneMedia.net